13,000 abonentów!

Nr. 5. Rok VII.

Poznań, Niedziela dnia 1-go Lutego 1903.



Tygodnik illustrowany.

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech: [illegible] nosi kwartalnie 1,25 m., na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską w Niemczech 1,90 m., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 [illegible]
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 39.

Telefon Nr. 1246. Telefon Nr. 1246.

Protestujemy!

Ile razy ozwie się w prasie polskiej słówko krytyki o przemówieniu którego z posłów naszych, zaraz podnoszą się głosy z łona ludzi „ładu i porządku" z gorzkiemi wymówkami, że prasa polska „zniechęca" posłów do pracy, i przyjaciele błogosławionego spokoju nie mają nic prócz lamentów i wymówek dla usprawiedliwionej krytyki, której każdy na [illegible] publicznej występujący mąż [illegible] podlegać.

Tym sposobem posłowie nasi stają niejako *in odore sanctitatis*, bo z obawy przed zarzutem „zniechęcania" prasa zwykle przyjmuje ich wystąpy parlamentarne bezkrytycznie, opatrując ich mowy co najwyżej kilku zdawkowemi komplementami, tak że mogło-by się wydawać, że wszystko u nas jest w wzorowym porządku.

Smutnym jest objawem, że prasa nasza zrzekła się *swego prawa* krytykowania mów poselskich i dla miłego spokoju zaniedbuje obowiązku obywatelskiego.

Tem się tłomaczy, że mowę ks. prał. *Jażdżewskiego* z okazyi etatu pruskiego przyjęły wielkie organy nasze milczeniem. Jest to iście klasyczny przykład byzantynizmu, jakim prasa nasza otacza posłów. „Kto milczy — zgadza się" na to co powiedziano, w tym wypadku wszakże nie podobno wcale przypuścić, by dzienniki nasze godziły się na mowę ks. prał. Jażdżewskiego, ale jednak — *milczą* z wyjątkiem kilku pism ludowych, które zaczepione przed forum niemieckiem znalazły odwagę do zaprotestowania przeciw wycieczce posła Jażdżewskiego na prasę polską. „Klasycznem" nazwaliśmy milczenie dzienników [illegible] bo owo przemówienie nawet *w Kole polskiem* [illegible] ne wzbudziło wątpliwoś[illegible] [illegible]zdawca parlamentarny *„Kur. Pozn."* wyraźnie daje do zrozumienia pomiędzy liniami, że mowa posła Jażdżewskiego, w niewłaściwym trzymana tonie, nie wywarła oczekiwanego wrażenia i proponowane środki antypolskie nie doznały należytej odprawy. Jeżeli jeden z kolegów mówcy zdobył się na takie szczere wyznanie, tem więcej prasa powinna otworzyć oczy ogółu na wystąpienie to, które stoi w *zupełnej sprzeczności z zapatrywaniem ogółu wielkopolskiego tak pod względem tonu jak pod względem treści.*

Dla braku miejsca nie możemy powtórzyć całej mowy ks. prałata, lecz odsyłamy ciekawych do wielkich naszych organów politycznych. Czytelnik mowy z zdumieniem spostrzega, że mówca stoi jak za dawnych lepszych czasów na stanowisku objektywnem, które wobec grona ludzi złej woli jest absolutnie nie na miejscu. Jak daleko idzie mówca w swym objektywizmie, maluje następujący ustęp:

„Uważam to za samo przez się zrozumiałe, że królewski rząd państwowy chce wzmocnić *narodowe usposobienie i położenie materyalne ludności* [illegible] *niemieckiej*, o której zawsze się mówi jako o potrzebującej bardzo pomocy, i że żąda środków do podniesienia tej ludności pod każdym względem. To czyni wszędzie na świecie każdy rząd."

W oczach mówcy przeto rząd jest całkiem usprawiedliwionym jeżeli „wzmacnia niemczyznę." Atoli mówca jeden bodaj w pośród nas bierze jeszcze owo „wzmocnienie" niemczyzny za dobrą monetę! Wszyscy mieliśmy czas przewidzieć, że owo wzmacnianie jest *komedyą*, jest *frazesem*, po za którym kryje się krzyżacki zapęd tępienia Polaków. Niemczyzna nie potrzebuje tu wcale ani wzmocnienia, ani obrony, jest bowiem tak mocną, że zagraża żywiołowi polskiemu w najwyższym stopniu. To są rzeczy dawno wiadome i powszechnie

uznane przez prasę naszą *wszystkich* odcieni.

„Dzien. Berl.“ uważa, że tak otrzaskaliśmy się z „miękkim kamertonem, jakoby apelem do dobrej woli tych, którzy jej absolutnie dla nas nie mają“ — iż mowa ta „prawie go już nie razi.“ Jednakże razi to w wysokim stopniu, że poseł polski dziś jeszcze wobec tylu objawów zacietrzewienia antypolskiego może do grona junkrów przemawiać tonem perswadującym, przyznawać się, iż wierzy, że rząd chce wzmacniać niemczyznę. Jeżeli tak, ks. prał. Jażdżewski wierzy w to, w co nawet hakatyści nie wierzą, bo oni przecież frazesu o „wzmacnianiu“ niemczyzny nie biorą na seryo.

Koroną tej mowy był ustęp *przeciwko prasie polskiej* i przeproszenie Centrum, które przez usta posła Fritzen'a skarżyło się na „zaczepki“ prasy naszej.

„Jedyną rzeczą — mówił poseł J. — o której łącznie z licznymi cytatami tutaj słyszymy, są ostre wyrażenia prasy, szczególnie prasy ludowej w rozmaitych częściach kraju. O tem wspomniał także szan. pan poseł Fritzen z Centrum i uskarżał się na to, że prasa polska występuje o wiele ostrzej i namiętniej przeciwko Centrum, jak gazety jakiejkolwiek innej frakcyi. (!)

Ubolewam nad tem z całego serca i oświadczam, że większą część zaczepek polskiej prasy, skierowanych przeciwko Centrum, uważam za nieuprawnioną i niesprawiedliwą (!) a wyrażam życzenie, aby się nie powtarzały. Zresztą, niech Centrum się uspokoi; *te same zarzuty (!)* jakie robią gazety polskie Centrum, *i my słyszeć musimy,* przynajmniej większa część z nas, zasiadających na tych ławach, i to w równej mierze i liczbie. Z łona naszej ludności nikt nie bywa tak ostro zaczepiany i sądzony, *jak poszczególni posłowie polscy,* ponieważ gorąco krwiste, radykalne (jakie?) organy prasowe żywią to przekonanie, że zachowujemy się tutaj zbyt łagodnie i delikatnie, że nie występujemy dość ostro przeciwko rządowi, lub głosujemy za ustawą w sposób, który nie znajduje u nich uznania.

Przyznaję, jak to już często robiłem, że nie godzę się na zadaleko w formie i treści posunięte uwagi prasy, jestem nawet przekonanym, że tym sposobem prasa, szczególniej kół ludowych, *polskości wielką wyrządza szkodę (!) Większą część nieprzychylnych zarządzeń władzy państwowej wprost zawdzięczamy zaczepkom prasy, skierowanym przeciwko ustawom państwa i poszczególnym członkom rządu (!)* Z drugiej strony stanowisku prasy dziwić się nie można, jeżeli się zważy uczucie nieprzyjaźni, jakiego doświadcza polka ludność w pruskiem państwie tak od rządu jak od jego obywateli.“

Trudno uwierzyć, żeby poseł polski w sejmie oskarżał prasę polską o „zaczepki“ partyi niemieckich katolików! Czyliż prasa ta ma zawsze być najniższym służką centrowców, dać się wodzić na pasku tym, którzy wieszają się fraka rządu i przykładają rękę do germanizowania żywiołu polskiego?

Nie ma gazety polskiej, która była-by ślepą na to, że Centrum sprzeniewierzyło się ideałom Windhorsta i przeszło na stronę naszych wrogów, *ks. prał. Jażdżewski* jeden nie zaobserwował przewrotu w łonie Centrum i każe polskiej prasie traktować germanizatorów centrowych przez rękawiczki.

Zresztą o jakich to *„zaczepkach“* mówił ks. prał. Jażdżewski? Dzienniki polskie nie „zaczepiają“ Centrum, lecz gdy ono zdradza owe wrogie nam tendencye, nie uznaje sprawiedliwych postulatów polskich wyborców — występuje z naganą. W pojęciu ks. Jażdżewskiego Centrum robi wszystko dobrze, dla partyi niemiecko-katolickiej nie miał mówca ani słówka nagany — natomiast prasa polska dopuszcza się obrazy Centrum, które bodaj — w mniemaniu ks. prałata — powinno być wyjętem z pod krytyki tak jak Koło polskie.

Nie dość na tem, prasa polska według ks. Jażdżewskiego dopuszcza się innego przewinienia. Słuchajcie! *„Większą część nieprzychylnych zarządzeń rządu spowodowała prasa polska!“* Każde dziecko u nas wie, że ustawy i środki antypolskie sprowadził szowinizm hakatystyczny, który wytworzył *system,* ślepy i głuchy na głosy prasy polskiej, lecz ks. dr. Jażdżewski nie zna systemu antypolskiego, a większą część zła zwala na barki prasy polskiej, — tej okropnej prasy, która nawet ośmiela się niekiedy krytykować występy pewnych posłów polskich!

Dalej w inkryminowaniu pism polskich, a obronie centrowców i rządu kosztem tejże prasy nie mógł pójść nikt. Dla ks. Jażdżewskiego ruch narodowościowy na Śląsku nie jest niczem innem jak dziełem kilku radykalnych wielkopolskich dziennikarzy, pewien rozbrat pomiędzy Centrum a Polakami także winą polskich dzienników, i rząd nie chciał nawet ustanawiać praw antypolskich, lecz zmusiła go do tego prasa polska!

Jeżeli za to przemówienie rząd i centrowcy nie odwdzięczą się ks. Jażdżewskiemu w właściwy sposób, to nawet ks. Jażdżewski zwątpi chyba w dobre chęci rządu, zacność Centrum i pocznie wierzyć, że nie wszystko złe sprowadziła prasa polska.

My protestujemy przeciwko tym niesprawiedliwym, nieuzasadnionym inkryminacyom prasy polskiej, której jedyną winą jest, że nie zastanawia się dość nad przemówieniami mandataryuszów społeczeństwa, nie kontroluje ich działalności i nie ma dość cywilnej odwagi, by ogłosić jednozgodny manifest protestacyjny przeciwko tej mowie, będącej niemal *publicznym skandalem.*

Nie należymy też do tych pism, które życzą sobie, aby ks. prał. Jażdżewski odstąpił od zamiaru wycofania się z życia parlamentarnego, gdyż przez swe wystąpienie zdradził on, że nie rozumie czy nie chce rozumieć społeczeństwa, którego ma być odgłosem. A brak uczuciowego i duchowego łącznika pomiędzy posłem a ogółem paraliżuje jego zdolności i odbiera wszelką wartość rutynie parlamentarnej. Wskutek tego stało się, że mowa ks. Jażdżewskiego na Niemcach nie zrobiła najmniejszego wrażenia, a u nas może wywołać tylko oburzenie. W pierwszym rzędzie trzeba nam posłów sharmonizowanych z jądrem społeczeństwa, — nie mowców skorych do błagania o przebaczenie Centrum za wrzekome przewinienia polskie, lecz po[illegible] [illegible]ężnych obroń[illegible] [illegible]ego i poniewieranego [illegible] polskiego.

Quis.

Debata polska
w sejmie pruskim.

Zaraz na wstępie nowej sesyi sejmu pruskiego — odbyła się w nim wielka *„debata polska.“* Różniła się ona od innych tem, że wywołana została nie przez posłów polskich, lecz przez centrum i rząd, przez kanclerza Bülowa, a dalej, że nie posłowie polscy, lecz reprezentanci rządu wystąpili w niej jako strona *zaczepna.* Snać nieszczególnie jednakże wywiązali się ze swego trudnego zadania — ponieważ przebieg debaty był bardzo mdły i bardzo ospały. Nawet najzaciętsi wrogowie nasi nudzili się podczas niej i ziewali. Korespondent „Kuryera Pozn.“ podaje bardzo prozaiczną

przyczynę tej ospałości sejmu, a mianowicie, że wskutek zmiany dyspozycyi co do *obiadów* w restauracyi sejmowej posłowie jedzą teraz obiady rychlej i wskutek tego syci i senni zasiadają w swych *krzesłach*. Nam jednakże zdaje się, że te stare i tylokrotnie już przez ministrów wytaczane argumenty antipolskie, które i tym razem z ust ich rozbrzmiewały w izbie wytworzyły tę samą atmosferę.

Mowę hr. *Bülowa* znają już czytelnicy ze streszczenia w poprzednim numerze. Po zatem przebieg debaty był taki:

Z łona stronnictwa centrum przemawiał poseł *Fritzen*. Zwalczał on również nowe projekty antipolskie, ale po swojemu, po *„centrowemu.“* Zaręczał kilkakrotnie, iż nie czyni tego z miłości lub współczucia dla Polaków, bo uczuć takich względem nich nie żywi, jedynie ze względu na *interes państwa* pruskiego. Aby zaś bardziej jeszcze „uniewinnić“ tę opozycyą swoją wobec pomysłów rządowych — sypał jak z rękawa wymówki pod adresem Polaków, nawet groźby, narzucał się nam na mentora politycznego, a już cały stek złości i złośliwości wylał na *prasę polską* za to, że ośmiela si[ę] karcić centrum i niemieckich katolików za ich często wprost hakatystyczne zachcianki germanizatorskie.

Z inn[illegible]ów naturalnie konserwa[illegible]okonserwatywny i na[illegible]ralny, pp. *Limburg-Stirum, [illegible]litz i Noelle* również rozpływali się w uznaniu dla polityki antipolskiej. Wolnomyślny *Ehlers* nie poszedł wprawdzie za ich przykładem. mimo to i on nie powiedział uczciwego słowa w obronie Polaków. Ubolewał tylko, że obrady „nad etatem“ nie wzbudzają żadnego interesu i pocieszał się nadzieją, że ożywią się nazajutrz, gdy posłowie *polscy* głos zabiorą.

Słusznie wobec tego zaznacza „Dziennik berliński“, że Niemcy widocznie wyzbyli się już tak wszystkich wznioślejszych idei oraz ideałów, iż nęci ich i łaskoce ich nerwy jedynie już *wiwisekcya* dokonywana na ciele przyłączonego do Prus odłamu narodu polskiego.

Tymczasem nadzieja p. Ehlersa w tym wypadku nie spełniła się. I obrady dnia następnego były suche i nudne. Pierwszym mówcą w dniu tym był ks. *Prałat Jażdzewski*. Niestety, ze wszystkich mów, jakie słyszeliśmy w ciągu lat 30 z ust jego, ta ostatnia była może najsłabsza. Brakło jej dawnej werwy, dawnego zapału; mimowoli odnosi się z niej wrażenie, że mówca jest już zniechęcony, zrażony do dalszej walki, że nie ufa ani sobie, ani społeczeństwu swemu. Po mistrzowsku wprawdzie wykazywał znów krzywdy wyrządzone ludności polskiej i całą niesłuszność i stronniczość tych nowych środków „ku wzmocnieniu niemczyzny,“ ale sam osłabiał swe wywody i skargi uderzając znów w ton — jakiegośmy od czasu nieszczęsnej „polityki ugodowej“ nie słyszeli jeszcze z ust *posłów* naszych w Berlinie. Nawiązując do zaczepek posła centrowego Fritzena, oświadczył ks. Prałat, że i on większą część głosów prasy polskiej przeciwko Centrum uważa za *niesprawiedliwe i nieuprawnione* — a dalej krytykował ostro *całą prasę polską*. Rozprawiamy się z tego powodu z ks. Jażdzewskim na innem miejscu. Tu tylko zaznaczymy, że ks. Prałat zapomniał widocznie o zachowaniu się centrum w wielu sprawach polskich w najnowszym czasie, o zajściach podczas obrad nad nowym funduszem kolonizacyjnym, o trudnościach stawianych polskim interpelacyom, o tolerowaniu przez centrum uroszczeń niemieckich katolików w polskich dzielnicach, o wy[illegible]ch centrowca hr. *Hoensbroecka* w izbie panów i o wielu, wielu innych tym podobnych dowodach „przyjaźni“ tego stronnictwa, I w odpieraniu ataków rządowych ks. Jażdzewski tym razem nie był szczęśliwy. *Zalił się i skarzył, zamiast gromić i piętnować.* Przed 10 laty — mówił — sam *król pruski* wystawił nam świadectwo, że jesteśmy wiernymi poddanymi i — przez te lat 10 nie uczyniliśmy nic złego, a mimo to nas się dziś tak traktuje!“ Po mowie malborskiej było to przypomnienie dawniejszego „świadectwa“ cesarza bardzo, bardzo niefortunne, to też nic dziwnego, że mowa ks. prałata nie sprawiła wrażenia ani w sejmie, ani w kraju — w społeczeństwie naszem, lecz przeciwnie, wywołała u nas tylko żal i smutek...

Stara się ją uniewinnić korespondent „Kuryera Pozn.“ następującemi uwagami.

„Przypuścić należy, że taki strategik parlamentarny, jak ks. dr. Jażdzewski, wiedząc z jakim chłodem, pełnym krytycyzmu, przyjmowały wczoraj nawet stronnictwa ślepo idące za rządem nowe na Polaków obmyślone środki finansowe, osądził za rzecz korzystną, pewną *powściągliwością* w tonie, a nawet i w treści swej mowy mdłe usposobienie Izby wzmocnić i tem samem izolować niejako rząd z jego antipolskiemi tyradami. Nie ulega wątpliwości, że, gdyby taki plan się był udał, stworzyłby korzystną dla Polaków sytuacyą parlamentarną, choć trudno się oddawać illuzyi, że przyniósłby sprawie polskiej *rzeczywistą* korzyść — namacalną. Także sprawa z p. Fritzenem w tem świetle może być pojętą.“

A więc znów ta nieszczęsna *dyplomacya*, to spekulowanie na „korzystną sytuacyę parlamentarną“ — na *rozdwojenie rządu i hakaty!!* Trafnie wobec tego zaznacza jedno z pism galicyjskich, że wszystkie takie „plany“ Koła nigdy się mu *nie udawały* i *nigdy nie udadzą*.

Po ks. *Jażdzewskim* przemawiali dwaj ministrowie pruscy, pp. *Rheinbaben* i *Hammerstein* — a właśnie ich mowy dowiodły wymownie, że takie „plany“ Koła pozostaną na zawsze — utopią. Z ust ministra *Hammersteina* dowiedzieliśmy się wprawdzie, że żaden z ministrów *nie należy do hakaty* — czyżby się wstydzili tego? — lecz wywody ich były *jedną gorącą apoteozą dążności hakatystycznych.* Po zatem obaj ministrowie nie powiedzieli nic nowego. Obaj po dawnemu przedstawiali Polaków jako łaknących krwi niemieckiej wilków, a rząd jako niewinne jagniątko, a na poparcie tej „prawdy“ pan *Rheinbaben* znów wojował... *wycinkami z prasy polskiej!!* Gniewał się o to, że niektóre pisma polskie przedstawiają naród nasz jako *wybrany przez Boga*, że inne zamieszczają jakieś *modlitwy narodowe* i to uważał za dowód rewolucyjnego usposobienia“ naszego. Głuchy zaś pomruk sytych i ospałych hakatystów w Izbie świadczył o tem, że ten argument ministra trafił do ich przekonania. Dowiedzieliśmy się dalej z ust jego, że dyrektor cła *Loehning* nie dla tego otrzymał dymisyą, iż ożenił się z córką feldfebla, lecz jedynie z tej przyczyny, że był... zbyt bezstronny względem Polaków. A taka bezstronność jest ciężkim grzechem w oczach rządu i wszechpotężnej hakaty. Urzędnicy w polskich dzielnicach mają być w pierwszym rzędzie *narzędziami antipolskiemi,* a potem dopiero urzędnikami. Tem samem pochwalił też pan minister częste wypadki pogwałcenia sumienia polskich urzędników przy wyborach itd. i dał d[o] poznania, że dla Polaków niema miejsc[a] w służbie rządowej.

Obaj ministrowie zaręczali, że rząd nie jest wrogo usposobiony wobec Polaków, gotów ich nawet ukochać i do serca przytulić, ale musi żądać wpierw od nich *drobnostki tylko* — niczego więcej, jak tylko, ażeby *wyrzekli się polskości i zostali... Niemcami.* Jakże tu nie podziwiać skromności i dobrego serca panów od stołu rządowego. Nie-

stety, za tę cenę nie okupimy sobie „lepszego traktowania.“

Że następny mówca, dyrektor *ziemstwa* poznańskiego pan *Staudy* również tak samo nas kocha — i że wskutek tego uderzy również w ton ministrów, to było do przewidzenia i tak się też stało. Ubodło go tylko to, że żaden z ministrów nie należy do hakaty, do tego [illegible]actwa tak srogo przez Polaków prześladowanych „baranków“ niemieckich. Zapewniał z góry, że nowy zamek cesarski w Poznaniu *„ogromnie zaimponuje Polakom“*, z radością witał dodatki do pensyi urzędników i nauczycieli, te premie za germanizacye, i tylko podział komisyi kolonizacyjnej nie bardzo przypadł mu do gustu.

Oprócz niego przemawiali jeszcze wolnomyślni *Gothein, Wiemer* i *Ehlers* narodowo liberalni *Eynern i Friedberg*, oraz centrowiec *Kirsch*. Wolnomyślni i Kirsch krytykowali wprawdzie nowe środki antypolskie, ale czynili to pobieżnie, ot tak jak gdyby chodziło o rzecz małej wagi a nie o *„najważniejszą wewnętrzną sprawę pruską,“* za jaką sprawę polską uznał nawet — hr. Bülow.

Według uchwały Koła polskiego miał jako drugi mówca polski przemawiać poseł *Schroeder*. Większość jednakże dość już miała tej „polskiej debaty“ — *wbrew więc zwyczajowi i wbrew słuszności zamknęła dyskusyą i tem odcięła posła polskiego od głosu. A do tego pogwałcenia praw mniejszości polskiej przyczyniła* się także część *centrum*, tego *centrum, które tak uwielbia poseł ks. Jażdżewski i dla którego krzywdę wyrządza prasie polskiej.*

Nadmienić jeszcze wypada, że dla nadania wagi oświadczeniu *Bülowa* **— był podczas mowy jego obecnym w loży królewskiej** *książę Henryk*, **brat cesarza. Wskazówka to dla tych, którzy liczą, jeszcze na rozmaite: „izolowania“ i „korzystne sytuacye.“**

Nie ulega wątpliwości po tej debacie, że wszystkie nowe środki antipolskie „gładko“ przyjęte zostaną. Z tem się pogodzić musimy i myśleć tylko o tem, jakby je *pracą i zabiegliwością* najlepiej *sparaliżować*. Nad tem atoli ubolewać trzeba, że ta debata nie przyniosła *ani zaszczytu Kołu polskiemu, ani moralnej chociażby tylko satysfakcyi społeczeństwu naszemu...*

Ordon.

Sprawy Ślązkie

Sprawa ślązka jest obecnie bez zaprzeczenia **jedną z najważniejszych jeźli nie** wogóle *najważniejszą sprawą* nietylko społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim, lecz także całego narodu polskiego. I z tej przyczyny uważamy wprost za nasz obowiązek informować Czytelników naszych o wszelkich jej fazach, zmianach i widokach.

Przed tygodniem, w niedzielę dnia 18 go stycznia, odbył się w Katowicach wielki wiec polski, zwołany przez ślązkie „Tow. wyborcze.“ Policya katowicka pierwotnie zabroniła odbycia tego wiecu, rzekomo ze względu na grasujące w mieście choroby nagminne, lecz prezes rejencyi wskutek zażalenia Zarządu Tow. zakaz ten cofnął. Jakkolwiek wiadomość o tem doszła do Katowic dopiero w przededniu dnia wiecowego, i „Górnoślązak“ raz tylko mógł ogłosić wezwanie na wiec, podczas gdy inne pisma ślązkie ani słówkiem o nim nie wspomniały, zebrały się takie tłumy dzielnych Ślązaków, że wielka sala wszystkich pomieścić nie mogła i połowa niemal zniewolona była rozejść się do domów. W sali było conajmniej 2500 wieccwników. Wiec zagaił przewodniczący Tow. wiecowego *dr. Stęślicki* z Huty Laury a przemawiali po nim panowie redaktor Korfanty, Tucholski, Rzepka, Grycz i Gettner. Wiecownicy *uznali jednogłośnie wśród ogromnego zapału władzę Tow. wyborczego* i wyrazili mu najzupełniejsze zaufanie swoje. Dalej żądali posłów *narodowych*, którzyby wyrzekli się wszelkiej wspólności z stronnictwami niemieckiemi, mianowicie z centrum i z socyalną demokracyą.

Nieprawdą też jest, co doniosły niektóre gazety niemieckie w celu oczernienia i zdyskredytowania młodego ruchu polskiego na Ślązku, iż Tow. wyborcze zamierza przy wyborach iść ręka w rękę z *socyalistami*. **Towarzystwo odpycha stanowczo sojusz z tą partyą i wogóle zwalczanie jej postawiło sobie jako jedno z głównych swoich zadań. Z szczerą też radością stwierdzić tu możemy, że walka przeciwko socyalnej demokracyi, podjęta przez nowy ruch narodowy, świetny zapowiada rezultat. Dziś już setki i tysiące tych, którzy przy ostatnich wyborach głosowali na kandydatów socyalnodemokratycznych, odwracają się z wstrętem od partyi przewrotu: skupiają się około sztandaru narodowego.** ***Spełniają się więc najzupełniej nasze przewidywania, że ruch narodowy ocali polski Ślązk ze szponów międzynarodowego socyalizmu.***

W ostatnią niedzielę dnia 25-go bm. miał odbyć się również przez Tow. wyborcze zwołany wiec polski ***w Tarnowskich Górach*****, lecz właściciel lokalu odmówił tegoż w ostatniej chwili...**

Częste te wiece polskie w ślązkim okręgu przemysłowym zadają kłam dawniejszym twierdzeniom kół grupujących się około „Katolika,“ że samodzielna ***polska*** **akcya polityczna będzie już z tej przyczyny bardzo utrudniona, iż właściciele sali nie zechcą ich pod presyą policyi oddawać dla wieców i zebrań polskich. „Towarzystwo wyborcze“ — jak widzimy napotkało na takie przeszkody tylko w jednym wypadku.**

Faktem jest, i to bardzo pomyślnym, że Tow. wyb. znajduje coraz szersze uznanie jako *władza wyborcza* na Ślązku. Niestety — fakt ten nie podoba się znów *„Katolikowi.“* Pismo to stara się wprost podkopać dążności „Towarzystwa“ a mianowicie zdyskredytować zupełnie propagowaną przez nie myśl wybierania posłów ze Ślązka do *Koła polskiego*. Znów bowiem z powodu wiecu w Katowicach żąda od przywódzców nowego ruchu, ażeby mu wskazali, o ile Koło polskie jest lepszem od stronnictwa Centrum dla polskiego ludu ślązkiego. Kwestya zerwania z Centrum a przyłączenia Koła polskiego równa się w rozumowaniu „Katolika“ tylko *„zmianie mieszkania.“* Na to podstępno-złośliwe żądanie „Katolika“ obliczone jedynie na omamienie mniej uświadomionych raz już odpowiedzieliśmy — lecz dla ważności sprawy raz jeszcze odpowiedź naszą powtarzamy: Oto Koło polskie jest o tyle lepsze dla ludu ślązkiego, *że jest polskie, że jest jedyną właściwą, i uprawnioną reprezentancyą całego polskiego ludu w zaborze pruskim.* Dalej w Kole polskiem posłowie ślązcy będą zupełnie *równouprawnionymi* członkami i przy pomocy demokratycznych posłów poznańskich i zachodniopruskich panami *swej woli* oraz *swobodnymi stróżami interesów polskiego ludu ślązkiego*; natomiast w wielkiem niemieckiem stronnictwie Centrum pozostaną i nadal pod względem *narodowym* tylko zaledwie tolerowanymi *Kopciuszkami*, pozbawionymi wszelkiej możności przeprowadzania swej woli. Jedynie też przez Koło polskie żądania narodowe Ślązaków znaleźć mogą otwarty, niczem nie krępowany wyraz w obu berlińskich ciałach prawodawczych. Zresztą — jeżeli „Katolik“ chce uchodzić za pismo *polskie*, musi zaprzestać tego dyskredytowania Koła polskiego, gdyż to równa się, jak już raz zaznaczyliśmy, zupełnej negacyi zasady *solidarności narodowej*.

„Ugodowe“ dążności „Katolika“ wobec Centrum doznały w ostatnich dniach silnego „wstrząśnienia“. Otóż Komitet *centrowy* okręgu *toszecko-lubliniecko-gliwickiego* postanowił ponownie [illegible] kandydata z tego okręgu do parlamentu... hrabiego *Ballestrema*. Jest to dotkliwy policzek wymierzony nietylko „Katoli-

kowi", ale także całemu ludowi polskiemu na Slązku i dowodzi, jak to „Centrum" pojmuje „uwzględnianie żądań polskich wyborców". Słusznie wobec tego pisze „Górnoślązak":

„Tak „Schles. Volkszeitung". Cóż na to „Katolik" i p. Napieralski. Jakoś sobie panowie centrowcy nic z jego układów nie robią i bez względu na obrażone uczucia narodowe ludu polskiego na Slązku stawiają znowu kandydaturę człowieka *tak znienawidzonego przez Polaków jak hr. Ballestrem.* „Katolik" już pisał raz, że on swego czasu kandydatury hr. Ballestrema nie stawiał ani go też nie polecał. Oświadczył także z namaszczeniem, że i w tym roku tego czynić nie będzie. Ale „Katolik" podczas przeszłych wyborów nie oparł się kandydaturze hr. Ballestrema, nie zawezwał ludu do walki z wrogiem polskości. Milczał uporczywie i milczeniem swojem przyczynił się do wyboru hr. Ballestrema. Gdy centrowcy w tym roku znów sobie zakpią z jego układów, czy „Katolik" będzie znów milczał?"

„Katolik" milczy dotychczas. Ciekawiśmy wielce, czy wobec tego dalej upierać się będzie przy „układach" z Centrum. Sytuacya dla ludu polskiego w tym okręgu będzie tym razem atoli o tyle korzystniejszą, że z dniem 1. Marca rb. otrzyma nowy organ i nowego przywódzcę. W dniu tym zacznie wychodzić tam nowe pismo polskie pod redakcyą pana *Józefa Siemianowskiege: „Głos Ślązki"*. Umiarkowane w swych dążnościach politycznych nowe pismo stanie jednakże otwarcie po stronie *„Towarzystwa wyborczego"*. Z góry więc możemy mu życzyć jaknajlepszego powodzenia.

Dla charakterystyki pojmowania obowiązków narodowych przez obecnego kierownika „Katolika" zamieszczamy tu pogłoskę, jaka obiega po Slązku. Według niej pan Napieralski miał powiedzieć p. Siemianowskiemu: „Jednego z was *zniszczę*, albo „Górnoślązaka", albo pańskie pismo." Zaznaczamy z góry, że jeźli pogłoska jest nieprawdziwa — chętnie zamieścimy *sprostowanie* — ale... poparte dowodami.

Na ogół rzecz biorąc, sytuacya o tyle się wyjaśnia, że coraz szersze Koła stoją pod sztandarem Towarzystwa wyborczego. Mimo to, dla *dobra sprawy* dziś jeszcze żądamy, ażeby ktoś z posłów naszych podjął się pośrednictwa w tej wojnie domowej na Slązku.

Narodowiec.

Uspołecznienie stanu włościańskiego.

Chłop polski jest dzisiaj ideałem całego społeczeństwa. Wobec naporu niemczyzny, pokładamy w naszym wieśniaku wielkie nadzieje. Już w czasie kulturkampfu dowiódł on, że żadna moc go nie przekształci, ale dzisiaj położenie jego stokroć trudniejsze niż dawniej. Dziś ma on do walczenia nie z jednym ministrem wysyłającym pułki na poskromienie opornych, lecz musi sam niewykształcony stawiać czoło całej armii ludzi stosunkowo od niego więcej oświeconych jako to urzędników najprzeróżniejszych i nauczycieli a nadto jest otoczony przez niemieckich kolonistów. Szkoła, wojsko, władza — wszystko stara się zniemczyć naszego włościanina.

Wobec tego trzeba dążyć do wyposażenia stanu włościańskiego w broń przeciwko germanizacyi. Leży to jak na dłoni. Społeczeństwo zrobiło niejedno w tym kierunku, mianowicie przez szerzenie oświaty, ale pozostaje wiele do zdziałania, jeźli stan włościański ma stać się skałą, o którą bałwany niemczyzny mają się rozbić.

Zanim zastanowimy się nad tą pierwszorzędnego znaczenia kwestyą, należy zdać *sobie jasno sprawę z charakteru chłopa*, poznać go i zrozumieć.

Słusznem jest twierdzenie, że chłop nasz jest jeszcze poniekąd niezbadanym, ale wszystkim bodaj są znane dwie cechy jego charakteru: nieufność i chciwość. Nieufność ta wytworzyła się zdawna wskutek niemiłych stosunków z dworem, który nieraz nie dotrzymywał kontraktu, ordynaryi na czas nie wydawał i nieszczerze względem kmiotka się zachowywał. I tak chłop, żyjąc w obawie i niepewności zbliżał się do wyższych stanów z nieufnością, która cechuje go dzisiaj w wysokim stopniu. Najdobitniej występuje na jaw owa nieufność, gdy chłop sprzedaje coś lub zobowięzuje się do czegoś, a szczególnie gdy mu przychodzi dać jaki podpis. Wtedy zdaje mu się, że duszę zaprzedaje, wietrzy podstęp i podejrzewa, że wykopano pod nim dołek. Ztąd powstało też przysłowie: „obiecanka—cacanka, a głupiemu radość."

Niemniej stwierdzoną cechą charakteru chłopskiego jest chciwość, która pcha ludzi nieraz do kradzieży. A kradzieży nie poczytuje się pomiędzy ludem za grzech, co poniekąd tłomaczy się tem, że ongi lasy i pastwiska były do wspólnego użytku.

Nie będę wskazywał na inne właściwości i wady wspólne wszystkim stanom, ani podnosił z uznaniem przywiązania ludu do Kościoła katolickiego oraz do ziemi, o którą włościanin nasz ubiega się, ceniąc ją wyżej od innych dóbr. Co się tyczy *przywiązania do kraju* — niestety mogę tylko stwierdzić brak tegoż. *Miłość Ojczyzny istnieje i tyle jedynie między ludem o ile utożsamia się ją z wiarą.* Żeby rozbudzić poczucie miłości Ojczyzny należałoby pouczać chłopa o dziejach naszych. Tymczasem szkoła pruska zaszczepia w lud pojęcia nieprzychylne dla sprawy narodowej. I tak zdarzyło mi się stwierdzić, iż lud tu i owdzie widzi w rządzie opiekuna chroniącego go przed wyzyskiem ze strony wyższych stanów polskich.

Wszystko co wyżej powiedzieliśmy, należy zważyć przy rozbiorze kwestyi, jak lud nasz uczynić odpornym na wpływy niemieckie.

Prasa polska zajmuje się gorliwie sprawami wychodźców i obieżysasów, chociaż zaledwie 10 procent z wychodźców powraca do kraju, a *nie zajmuje się dość szczerze bracią od pługa, nie bada ich stanu umysłowego, nie pyta się o ich usposobienie. Pamiętajmy, że jaki lud sobie wychowamy taki będziemy mieli.* Czas otworzyć oczy na lud i przyjrzeć mu się zblizka i dokładnie, a skoro to zrobimy, nasuną się nam wskazówki, jakimi środkami mamy unarodowić lud nasz, zespolić z uświadomioną częścią społeczeństwa i stworzyć z stanu włościańskiego potężną zaporę przeciwko niemczyźnie.

Nie próbuję rozstrzygnąć tej wielkiej kwestyi. Rzucam tylko kilka ogólnych myśli..

Dziedzic i urzędnik gospodarczy mają przedewszystkiem sposobność do pracowania nad ludem, lecz praca ich byłaby bezskuteczną, gdyby lud nie miał do nich zaufania, uważał ich za nieprzychylnych. Pierwszym warunkiem do zdobycia zaufania jest *sprawiedliwe postępowanie*, nie wykluczające energii. Można ukarać, lecz nie trzeba bić, poniewierać lub zwłóczyć z wydaniem ordynaryi, bo w tym razie ludzie muszą mąkę kupować, co im drożej wypadnie niż gdyby swe zboże ordynaryjne dali młynarzowi do zmielenia. Znam dziedzica, którego ludzie kochają jak ojca, bo chociaż ostry jest sprawiedliwy. Z każdym pomówi o jego sprawach, wszystkiem się interesuje, w chorobie wspomaga, chorych sam w chatach nawiedza, a chociaż potem niejednego ukarze, nikt mu tego za złe nie ma, lecz staje po jego stronie.

W tych warunkach można pracować skutecznie nad umoralnieniem i kształceniem ludu i to wypożyczając książki i zachęcając do zapisywania pism, które są tak tanie, że każdy może sobie na ten wydatek pozwolić. Marka i 25 fen. na kwartał za „Pracę" nikogo nie zuboży, a z pewnością żaden z Czytelników „Pracy" nie pożałował jeszcze, że sobie ją zapisał. Gdzieniegdzie pożyczanie książek jest już w użyciu, ale że nie wielu ludziom leży oświata ludu na

sercu, więc powinno zająć się tem jakie towarzystwo.

Istnieje wprawdzie Tow. Czytelni Ludowych i myślę, że zadanie swe pełni jaknajlepiej, lecz potrzebujących jest mnóstwo, a stosunkowo mało biblioteczek. Dlatego trzeba przedewszystkiem tę instytucyą popierać. „Oświata i praca — narody wzbogaca.“ Oświata jest jednem z głównych haseł wypisanych na naszym sztandarze narodowym.

Ale na krzewieniu oświaty nie należy poprzestać.

Praca około ludu powinna na szerszej spocząć podstawie, obejmować większy zakres.

Prosiłbym Szan. Redakcyą „Pracy“ o otworzenie dyskusyi w swych łamach w tej materyi. t. j. o zawezwanie Czytelników mianowicie ze wsi do nadsełania korespondencyi na temat:

1) Jakim jest charakter naszego ludu?

2) W jaki sposób można wykorzenić wady ludu i unarodowić go?

3) Czy nie mogłoby powstać towarzystwo, (czy to w styczności z Tow. oświaty ludowej, czy osobne), mające na celu umoralnienie i unarodowienie chłopa?

Mam nadzieję, że Szanowna Redakcya „Pracy“, która zawsze się powoduje dobremi intencyami, myśl tę podejmie i zachęci obywateli dbałych o rozwój ludu i przyszłość naszą do wypowiedzenia swego zdania.*) Pięknie byłoby, gdyby pod każdą strzechą znajdowało się słowo polskie jako tarcz przeciwko niemczyźnie i podpora ducha narodowego, pięknie gdyby kmieć nasz zbliżył się do innych naszych stanów i stanął mocno na gruncie narodowym!

Silesius.

*) Powyższy list nadesłany nam przez jednego z naszych Czytelników jest dowodem, iż istnieje u nas szlachetna troska o rozwój i przyszłość ludu, który pełni tak *wielką misyą narodową.* Pokładając *wielkie* nadzieje narodowe w ludzie, *wiele* musimy pracować nad oświeceniem i moralnem podniesieniem tegoż. Wszystko zaś co w tym kierunku robimy przez towarzystwa, wiece przedwyborcze, kołka rolnicze itd., nie wydało jeszcze rezultatów wystarczających. Wiadomo bowiem, że idea narodowościowa nie przeniknęła jeszcze do niższych warstw społecznych. Zgodnie z życzeniem Silesiusza prosimy ludzi dobrej woli, którzy znają lud z blizka i rozumieją jego potrzeby, *by podzielili się z nami swemi zapatrywaniami* i rozumowaniami. Ziemianin nie chętnie chwyta pióro w rękę, lecz w tym wypadku nie powinien poskąpić ogółowi swej rady i wskazówki, gdyż chodzi tu o brać stojącą mu najbliżej, o potężny czynnik społeczny, który ma być zaporą niemczyzny. [illegible] ż z dyskusyi nie wyłoni się może żadne dzieło, bądź co bądź wymiana zdań w tej ważnej kwestyi, ogólno-polskiego znaczenia, przyczyni się do wskazania i rozjaśnienia dróg pracownikom dla ludu, do powiększenia zastępu tych obywateli, co w swem kole rzucają ziarno oświaty i poczucia narodowego na wdzięczną, urodzajną niwę ludową. *Redakcya.*

LISTY
z Prus Zachodnich.

Sejmik toruński. II.

„Radźmy o sobie!“ To było hasło z którego powstał Sejmik toruński. A *myśl* wyraziła się w słowach Ignacego Łyskowskiego, które przytoczyliśmy w pierwszym artykule.

Zgódźmy się wszyscy, że z tych wszystkich zadań, które obejmują wszelkie kierunki życia narodowego, zatrzymał Sejmik toruński tylko jedno: interesa rolnicze większej własności. Bywają co parę lat także wykłady z dziedziny prawa lub ekonomii społecznej, ale jedynie w zastósowaniu do tych właśnie interesów, jak wszędzie zresztą po kółkach rolniczych. — O „gospodarstwach wiejskich, rzemiośle, przemyśle, oświacie, obyczajach narodowych“ mowy w Sejmiku nie ma. — Natomiast to, co „zepsute i chore“: poczucia wielkości i splendory domów rozwijają się w sejmiku bujnie jak zwykle chwasty w zaniedbanym ogrodzie.

Ależ, na Boga, wszakże to garstka niedobitków! Czyż sami nie czują, że lepiej myślą nową i wielką zająć umysły własne i społeczeństwa niż pozorami wielkości zakrywać swą słabość? Czy ładnie wygląda wspaniała kareta zaprzężona w jednego chudego konia?

Najprzód na intencyą sejmiku msza św. Bardzo to pięknie z Panem Bogiem poczynać, tylko że czynić to zwykliśmy przed obradami ważnemi. Wszakże kółka rolnicze dla swych zwykłych posiedzeń mszy św. nie zakupują!

Po dwugodzinnych przywitaniach wzajemnych i pogadankach zagaja wreszcie jeden z gospodarzy sejmikowych zebranie. Zagajenie bywa referatem rozsądnym i zwięzłym z tego, co rok ubiegły przyniósł ziemianom.

Teraz idą honory rodzinne! Marszałkiem obierzemy tym razem tego, wicemarszałkiem tamtego. Do pióra — a raczej do bezczynnego spoglądania z estrady — powołuje się dwóch lub trzech synów obywatelskich z innych rodzin, wedle interesów i zamiarów domowych, aby zaś każda rodzina miała swe odznaczenie. Kombinacye rodzinne ze względu na wieczorny bal znajdują nieraz przy wyborach słuszne uwzględnienie.

Teraz zgłasza się do głosu delegat Centralnego Towarzystwa Rolniczego na Wielkie Księstwo Poznańskie, który bądź w krótkich słowach rzeczowo, bądź szumnie wita owe Prusy Zachodnie, które przodują w pracy: „Przyszliśmy, u waszych stóp usiąść szanowni Panowie i słuchać... W podobny sposób żegna następnie delegat te Prusy Zachodnie przed zamknięciem sejmiku i zaręcza, że opowie braciom swoim w Księstwie i t. d. W rzeczywistości nic nie opowie, ani nie ma przyczyny opowiadać, w Księstwie ma każdy pełno sposobności stykać się i radzić o rolnictwie z gronem myślących obywateli.

Napisaliśmy: zgłasza się delegat... To omyłka! Trzeba było napisać „zgłaszał“, bo już Centralne Towarzystwo Rolnicze w Księstwie delegatów do Torunia nie posela więcej. Po cóż ich też ma posełać!

Tak samo ignoruje Królestwo Polskie stale Sejmik od długiego już czasu. Chyba jaki elegant wybrał się z za kordonu do ślicznej artusowej sali na wieczorne tańce, lub aby poznać skromne i piękne zachodnio-pruskie panienki, — a tymczasem na jakie dwie godzinki na sejmiku w sali muzealnej gdzieś w tyle sobie przycupnął i słucha. Obrady! Dzisiaj nasz kochany Władzio czy Zygmuś pierwszy raz występuje publicznie! Ma wykład o . . . Przecież z dwóch broszur może przy usilnej pracy wykład napisać, mianowicie gdy wuj N. pracę przejrzy! Mama i siostrzyczka i kuzynka w chwili tak ważnej przychodzą na chórek. Na taki widok przerywa pan marszałek obrady i twierdząc w jawnej niezgodzie z rzeczywistością, że się chórek „zapełnia,“ wita razem z całem zgromadzeniem damy. Ale mama i panienki niepotrzebnie czują palpitacye w sercu, bo nie było wypadku, aby się wykład jakiemu Zygmusiowi nie udał. Pochwały to godne, że się młodzież powołuje do publicznych występów, tem więcej, że staje się ona coś mocno utilitarną. Ale do pracy społecznej ma ta młodzież dość sposobności gdzieindziej i przez rok cały. Nie można przecież żądać, aby ktobądź starszy i wytrawniejszy na te Zygmusiowe wykłady zjeżdżał.

Tak samo nie powinny stać na porządku dziennym Sejmiku wykłady tego rodzaju jak o uprawie roli (który się zresztą powtarza) lub o hodowli świń, bo takie właśnie tematy i owe młodzieńcze wykłady degradują Sejmik zupełnie do rzędu kółka rolniczego, którem go przecież gospodarne znać nie chcą.

Spojrzyjmy tylko na porządek dzienny przyszłego sejmiku na dzień 17-go lutego.

1) Ekonomiczne znaczenie spółek z uwzględnieniem rolników.
2) O hodowli i wychowaniu świń.
3) O znaczeniu liści buraczanych (ciąg dalszy).
4) Doświadczenia z motorami spirytusowymi.

Każdy przyzna, że tak wygląda porządek dzienny każdego lepszego kółka rolniczego. Przyznamy zaś wszyscy, że sejmik pozuje na instytucyą bardzo poważną.

Można ją porównać do bańki wielkiej, krągłej, błyszczącej mieniącemi się barwami, unosi się ona lekko w powietrzu, leez gdy podłożony kociołek z spirytusem się wypali, opada na ziemię — kawałek łatki. Począć podkładać kociołek i wypalać spirytus? Czy chodzi o zabawkę przyjemną dla oka? Nie, tutaj chodzi o wielką myśl, którą obywatelstwo zachodnio-pruskie pod wodzą Ignacego Łyskowskiego wcieliło w instytucyą „Sejmik,“ jakiej nie ma nigdzie w Ojczyźnie naszej, która ma objąć „wszystko, co się odnosi do naszego gospodarstwa społecznego... przed którego forum należy wszystko, co zepsute i chore“... i które stać ma „wyżej wszelkich koteryi i zakątkowości.“

Tu zaś właśnie zawiniły bardzo koterya i zakątkowość. Oczom wierzyć się nie chce, gdy patrzy się w dusze ludzi w części posiwiałych w pracy społecznej, do których ma przystęp każda myśl szlachetna, ofiarnych i zacnych, a ustawicznie o dobru społecznem myślących, ile na dnie tych dusz siedzi „koteryi i zakątkowości“, ile chęci wyłącznego panowania, wyłącznego — nawet między obywatelstwem — bo w kółku kiku spokrewnionych i spowinowacych ze sobą rodzin.

Kto nie ma szczęścia należeć do tego bractwa ściślejszego, które monopol działalności obywatelskiej w Prusach Zachodnich zagarnęło dla siebie, — ten musi chodzić samopas, i niechaj będzie zadowolony, gdy sąd nad nim zrobią łaskawy.

A przecież koniecznie stawiać muszą sobie pytanie, cóż się stało z ideą sejmikową i jakiż sposób wyjaśnia? Na to pytanie odpowiadał im głos z głębi duszy: my pragniemy dla nas i dla naszych krewniaków, dla wielkości naszych wdów, niechaj to panowanie nadal nasze istnieje.

Czy to Prusy Zachodnie coś gorszego od Księztwa? Czy tam nie zjeżdża się szlachta i z godnością, jaka jej przystoi, nie radzi w sprawach rolniczych?

Gdzież nam porównywać się z Księztwem? Wszakże tam wzorowe panują stosunki. Organizacya rolniczej prasy w Księztwie jedyną jest w Polsce. Łączy ona najwyższych z najniższymi, choć w w przeciwieństwie do Prus Zachodnich żyje w Księztwie trochę prawdziwej arystokracyi i masa jest rodzin znacznych z arystokracyą skoligaconych. A jednak łączność przeprowadzona z warstwami najniższemi: Gęsta sieć kółek rolniczych jest jakoby objawieniem błogosławieństwa bożego, jest jądrem zdrowia narodu. I ztąd panuje w Księztwie swoboda, duch rzeźwy przenika całe społeczeństwo. A w Prusach Zachodnich? Wyżej scharakteryzowana kastowość u szlachty, bajeczna ociężałość u niezmiernej ilości gburów czyli gospodarzy i ciemnota u kmieci. Jeżeli przyjrzymy się teraz świeżo opublikowanemu porządkowi dziennemu przyszłego zebrania Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Księztwie, okaże się, że tam jest *więcej wydziałów, niż tutaj wykładów*...

A byłoby w inny sposób, ale tak samo dobrze jak w Księstwie, gdyby — nie mówiąc już o innych częściach idei Sejmiku — krzewiono myśl o rolnictwie przez dalsze zakładanie kółek, których zrazu w pięciu latach utworzono 34.

Choć liczba obywateli się zmiejszyła było i jest ich dość na tę robotę. Następnie dwieście kilkudziesięciu kapłanów mniej lub więcej chętnych do pracy społecznej, wzmagający się coraz zastęp ludzi świeckich, co pokończyli nauki, czekało i czeka napróżno, aż ich ktoś ośmieli, aż im się wytłomaczy, że bynajmniej nie będą się wciskali między grono „panów“ i że fałszywą jest wiara biblijna, z którą się wyrasta w Prusach Zachodnich, że praca społeczna jest wyłącznie zadaniem kilku rodzin.

Konrad.

Z TYGODNIA.

Nie tylko Polacy zniewoleni byli w ubiegłym tygodniu bardziej niż zwykle zajmować się *rządem niemieckim i pruskim, jego etycznemi zasadadami i polityką,* ale wraz z nimi także wszystkie inne narody cywilizowane po obu stronach Atlantyku. Dla nas powodem tego szczególnego zainteresowania były nowe środki antipolskie i debaty w *sejmie pruskim,* dla innych narodów bardzo ciekawe rozprawy w *parlamencie niemieckim* oraz nowy czyn „bohaterski“ Niemców na *wybrzeżu Wenezueli.*

O tych debatach polskich piszemy obszernie na innem miejscu, a wrócimy jeszcze do nich przy końcu dzisiejszej naszej kroniki tygodniowej. Tymczasem zajmiemy się tu swemi sprawami, które znów zwróciły na Niemców uwagę całego świata.

Jest to starym zwyczajem parlamentarnym, że na początku rozpraw nad etatem państwa omawia się wszystkie sprawy ważniejsze zarówno z zewnętrznej jak i wewnętrznej polityki. Tak było i tym razem. Między dawniejszemi a tegorocznemi rozprawami zachodzi jednakże znaczna różnica. Obszerniej bowiem i otwarciej niż innemi laty mówiono teraz o stosunku Niemiec do innych państw, równocześnie zaś wciągnięto do dyskusyi *osobę władzcy państwa,* i to w sposób, niepraktykowany dotychczas nigdy ani w niemieckim, ani w żadnym innym parlamencie.

Z tej dyskusyi o etacie wyłoniły się ciekawe rozprawy o *cesarzu Wilhelmie,* które trwały trzy dni — i zakończyły się bardzo dramatycznie. Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne jeszcze wrzawę, jaka powstała w Niemczech przed pół rokiem z powodu pewnego telegramu *cesarza Wilhelma do księcia rejenta bawarskiego.* Centrum bawarskie, odrzuciło wówczas pozycyą 100,000 mrk. w etacie bawarskim, przeznaczone dla rządu na zakupno dzieł sztuki. Uczyniło to zaś dlatego, aby dać dowód nieufności dla ówczesnego bawarskiego ministra oświaty.

Gdy się o tem dowiedział cesarz Wilhelm, bawiący wówczas w starem pomorskiem *Swinoujściu,* wystosował zaraz depeszę do księcia rejenta, w której była mowa o brzydkiej niewdzięczności Bawarczyka dla domu Wittelsbachów i t. d. Już wówczas przypuszczano, że potężne Centrum nie puści płazem tej depeszy i nagany, nie spodziewano się jednakże, że uczyni to w tak ostrej formie. Tymczasem teraz wspomniany już poprzednio poseł prałat *Schaedler* dał na nią taką odprawę, jakiej pewnie jeszcze pod adresem monarchy nie słyszano w żadnym innym parlamencie.

Niech król pruski — mówił *Schaedler* — nie zapomina, że nie jest *samowładzcą* Niemiec, lecz tylko prezesem monarchii i państw związkowych niemieckich i wykonawcą ich woli. Jako taki nie ma prawa mieszać się do wewnętrznych spraw państw związkowych, nie ma prawa krytykowania ich ciał prawodawczych. Depesza cesarska w tej sprawie sprzeciwiała się wogóle zasadom konstytucyjnym, co do których zresztą w najwyższych kołach niemieckich dziwne panuje zamieszanie pojęć. Mówca krytykował dalej nie mniej ostro wogóle zbyt częste wpływanie monarchy na bieg

spraw publicznych — a marszałek parlamentu hr. *Ballestrem* bynajmniej mu w tem nie przeszkadzał.

W obronie cesarza wystąpił naturalnie hr. *Bülow*, a przyznać trzeba, że w tej obronie dał dowód wielkiej zręczności dyalektycznej. Wskazywał na to, że cesarz Wilhelm jest człowiekiem wielkiego serca i jeszcze większej żądzy czynów, że nie umie być „filistrem,“ ani monarchą malowanym, że ma przytem bardzo żywy temperament, więc kanclerz prosił, aby to *wszystko* uwzględniano wobec częstych mów i telegramów cesarza. On, kanclerz, dotychczas jeszcze za wszystkie samodzielne występy monarchy chętnie weźmie na siebie odpowiedzialność — a ustąpi dopiero wówczas, gdy już jego zdanie absolutnie nie da się pogodzić ze zdaniem monarchy.

Lecz mowa *Schaedlera* była tylko hasłem do dalszych rozpraw na ten temat. Zaraz nazajutrz powstał poseł socyalistyczny *Vollmar* i zamierzał takiej samej krytyce poddać mowy cesarskie, wygłoszone przeciwko *socyalistom* z powodu sprawy *Kruppa.* Tu atoli stała się rzecz dziwna. Marszałek *Ballestrem* stanowczo zabronił mu mówić zarówno o Kruppie jak i o tych mowach. Był to ze strony marszałka krok zupełnie *bezprawny, było to pogwałcenie parlamentarnej wolności słowa,* to też wywołało zarówno w parlamencie, jak i w prasie ogólne potępienie. A socyaliści berlińscy zaprotestowali przeciw temu na trzydziestu dwóch zebraniach. Najciekawsze zaś to, że owych mów cesarskich bynajmniej nie ocalił hr. Ballestrem przed ostrą krytyką. Już *Vollmar* sam zdołał w odpowiedzi swej danej marszałkowi bardzo ostro skarcić „ten dziwny i niemoralny sposób strzelania z za płotu do ludzi, którzy bronić się nie mogą,“ czego zaś nie dopowiedział to usłyszano nazajutrz z ust posła *Bebla.*

Swietny ten mówca *pastwił* się formalnie nad mowami cesarskiemi, używał przytem o nich zwrotów i wyrażeń, których my tu w tej kronice, nie będącej sprawozdaniem parlamentarnem, powtórzyć nie możemy.

Nie przepuścił także pruskiemu *księciu następcy tronu,* który nie dawno, za przykładem ojca również bardzo ujemnie wyraził się o socyalistach, nazywając ich „nędznikami.“ „Czy ten *„młody pan“* — wołał poseł Bebel — nie ma nic lepszego do czynienia, jak znieważać dwa miliony wyborców niemieckich?“

Napróżno kanclerz hr. Bülow błagał i zaklinał formalnie posłów w imię „świętych dla każdego Niemca uczuć monarchicznych“ ażeby w ten sposób nie mówiono o cesarzu — raz poruszone fale krytyki rozlewały się coraz szerzej. Ganili mowy cesarskie zarówno wolnomyślni jak i konserwatywni posłowie; znanemu Richterowi, który powiedział, że nieraz za głowę schwycić się trzeba, gdy się czyta enuncyacye cesarskie, sekundowali konserwatyści *Kardorff, Oertel i Stöcker,* podczas gdy w obronie cesarza *ani jeden głos się nie odezwał z łona Izby. Tylko Polacy milczeli — jakkolwiek mowa malborska cesarza na podobną zasługiwała krytykę.* Wszyscy inni godzili się na to, że stosunki, jakie wytworzyły te częste mowy i depesze cesarskie, stały się już *niemożliwemi.*

Zaledwie skończył się ten jedyny może w swoim rodzaju sąd o monarsze, gdy nowa zjawiła się sensacya. Hr. *Ballestrem* złożył urząd marszałka, zrażony ostrą krytyką postępowania swego wobec Vollmara, a także tem, że sądowi owemu przeszkodzić nie zdołał.

Nie ulega wątpliwości, że wybranym zostanie na nowo — lecz cała ta sprawa świadczy wymownie o tem, iż naprawdę coś psuć się zaczyna w państwie niemieckiem.

Gdy się to działo w *Berlinie* niemiecka eskadra wojenna na wybrzeżu *Wenezueli* zbombardowała fort wenezuelski *San Carlos,* broniący jej dostępu do zatoki *Maracaibo.* A gwałtem chciała się dostać do tej zatoki, aby zabrać ostatni wenezuelski okręt wojenny „Miranda,“ który się do niej schronił. Według uchwały między Anglią a Niemcami, blokada wybrzeży wenezuelskich miała być *pokojową.* Tymczasem flota niemiecka dla tak błahej przyczyny zasypała fort *San Carlos* 1600 pociskami, od których poległo kilkadziesiąt żołnierzy z załogi i bardzo dużo niewinnych, bezbronnych mieszkańców wioski, położonej u stóp fortu. Cały przebieg bombardowania fortu nie przynosi przytem marynarce niemieckiej wielkiego zaszczytu.

Mała twierdza uzbrojona była jedynie w kilka dział małego kalibru. Mimo to krążownik niemiecki *„Pantera,“* który najprzód sam usiłował ją zdobyć, cofnąć się musiał. Dopiero gdy przybyły inne okręty z dalekonośnemi działami, udało się fort zburzyć. Niemcom żadne przytem nie groziło niebezpieczeństwo, *gdyż kule z małych dział wenezuelskich wcale ich nie zdołały dosięgnąć.*

Równocześnie rozeszła się wieść, że wskutek blokady wybrzeży wenezuelskich na wyspie *Los Roques 17 osób umarło z głodu, gdyż blokada odcięła im dowóz żywności....*

Wieści o tych wypadkach, o takiem wykonywaniu, *pokojowej blokady* ze strony Niemiec wywołały *ogromne wzburzenie w Anglii i w Ameryce północnej.* Opinia angielska żąda stanowczo, ażeby rząd zerwał sojusz z tak „ciętym narodem,“ opinia amerykańska zaś, ażeby rząd *Stanów zjednoczonych zaprotestował przeciwko tego rodzaju „gwałtom“ niemieckim na ziemi amerykańskiej.*

Pisma amerykańskie przypominają przytem, że prezydent Mac Kinley zmuszony został przez opinią publiczną *wbrew własnej woli do wojny z Hiszpanią* i dają do zrozumienia, iż to samo *może się stać teraz wobec Niemców.* A chociaż rządy obu tych państw nie podzielają wojowniczego usposobienia ludności, to jednak sytuacya bardzo jest naprężona i Niemcy Bogu będą mogli dziękować, jeżli tej swojej „cietości“ wobec słabszych nie przypłacą *upokorzeniem i ciężkiemi kłopotami. To atoli jest już faktem, że zarówno w Anglii jak i w Ameryce opinia publiczna nikogo dziś tak nie nienawidzi, jak właśnie Niemców.* Na nic więc nie przydała się zeszłoroczna podróż księcia Henryka do Ameryki, na nic ofiarowana wolnym Amerykanom statua Fryderyka II.....

Rozpisaliśmy się tak obszernie o tych zajściach, bo zajmuje się niemi świat cały, bo są one dla nas satysfakcyą w ciężkiem *naszem* utrapieniu. *Gdy inne państwa i narody poznają Niemców tak samo dobrze, jak my, nie będą już oni mogli udawać w stosunku do nas przed światem jak dotychczas — niewinnych baranków!*

Że nie są nimi, to wykazała znów debata w sprawie polskiej w sejmie pruskim, to potwierdził znów mały epizod, jaki się rozegrał w komisyi budżetowej sejmu. Gdy poseł polski p. *Głębocki* zażądał tam, ażeby z funduszów dyspozycyjnych na naukę rolnictwa przeznaczono przecież także coś dla *Polaków* — odpowiedziano mu butnie: „Cóż to za śmiałe żądanie? Fundusze te są dla Niemców, a nie dla Polaków i na to głównie, *aby zbroić przeciwko nim Niemców.“* A przecież i do tych funduszy płyną... *polskie podatki....*

W piątek dnia 29-go bm. przyjdzie nareszcie w parlamencie niemieckim pod obrady *interpelacya polska* w sprawie bojkotowania ludności polskiej ze strony władz wojskowych oraz w sprawie innych krzywd naszych. Przyjdzie przytem niezawod-

nie do ostrej walki na słowa. Miejmy nadzieję, że posłowie nasi trafią w ton właściwy, że przestaną wojować „interesem państwa pruskiego i Rzeszy,“ a kierować się będą wyłącznie względami *na interes ludności polskiej.*

K. O.

Przegląd prasy.

O niebezpieczeństwie ze strony *socyalizmu*, które ujawnił wiec inowrocławski, pisze „Kur. Pozn.“, o agitatorach takie robiąc uwagi:

„Wiedzą oni dobrze, iż cała odporność, cała budząca się siła w ludzie naszym zachodnio-polskim, rozwija się na tle narodowej i religijnej walki i z podziwienia godną przebiegłością stosuje się do tego tła. Oni, których ideałem jest państwo bez Boga i bez narodowości, bluźnierczemi usty starają się uwidlić nasz polski lud rzekomą obroną katechizmu polskiego i polskich dzieci, chłostanych w szkole. Oni, których przewaga w naszem społeczeństwie oznaczałaby zanik naszej narodowości i germanizacyą stokroć skuteczniejszą, bo wewnętrzną, jak cały zapęd hakaty, stają przed naszym polskim ludem i wołają: „My walczymy z rządem tak samo jak wy, my koledzy broni, z nami należy zawrzeć sojusz przeciw gniotącemu systemowi.“

Szczególne niebezpieczeństwo grozi obecnie Polakom na Ślązku, ale — pisze „Kur. Pozn.“

„U nas w Poznaniu też powstało niedawno pismo socyalistyczne w języku polskim, *a we wszystkich okręgach postawione już są kandydatury socyalistyczne na przyszłe wybory.* Socyaliści, choć wiedzą, że *na razie* nie przeprowadzą u nas ani jednego posła, uprzedzili nasze narodowe stronnictwa. W Prusach Zachodnich też agitują, a w kolonii naszej berlińskiej wpływ socyalizmu bodaj czy już nie przeważa.

„Wobec tego powiedzieć sobie musimy jasno i wyraźnie, że socyalizm nie *jest niebezpieczeństwem jakiemś oddalonem*, ale bardzo istotnem i że największy czas jest zabrać się do stanowczej przeciw niemu obrony. Niech no tylko nastąpi pewne obałumucenie opinii, niech dla względów politycznych przyjmie się zasada, że w niektórych przypadkach można iść z socyalistami ręka w rękę przy wyborach, a zobaczymy, jak prędko dla politycznych względów *społecznie* nami owładnie socyalizm.“

Ale nietylko socyalizm zagraża Polakom. W *Westfalii* centrowcy „kuszą Polaków do niesolidarności.“

W „Wiarusie“ bochumskim czytamy:

„Jak nam z powiatu dortmundzkiego donoszą, wysłał zarząd partyi Centrum do pewnej liczby Polaków zaproszenie na pogadankę w sprawie przyszłych wyborów do parlamentu. Wobec tego zaznaczyć musimy, że Polacy tam wogóle chodzić nie powinni, bo mają własną organizacyą wyborczą, nie mogą więc należeć do żadnych komitetów centrowych. Gdyby jednak ktoś z ciekawości udał się na takie posiedzenie, powinien tym panom wyjaśnić, że to próżne starania, takie pokątne chwytanie Polaków, gdyż żaden prawy Polak nie będzie przykładał ręki do rozbijania solidarności wśród Polaków na obczyźnie. Polacy mają swój wyborczy komitet główny, do niego powinni się więc centrowcy udać, chcąc się w sprawie wyborów z Polakami porozumieć. Jesteśmy też pewni, że żaden Polak nie pozwoli się wciągnąć do komitetów centrowych.

„Gdyby się jednak może znalazł ktoś, coby chciał służyć centrowcom za naganiacza, wtedy bezwzględnie napiętnujemy takie postępowanie, ogół Polaków odwróci się od każdego rozbijacza solidarności narodowej z pogardą, na jaką zasłużył!!

„Wszystkim nam się gromadzić należy pod sztandarem narodowym, polskim, pod sztandarem własnej organizacyi wyborczej a nie być popychadłem w partyach niemieckich, zarówno, czy one socyalistyczne, liberalne czy centrowe. Tam nie powinno być dla Polaków miejsca.“

Mowa etatowa X. prał. *Jażdżewskiego* — nad którą wielkie nasze organy przeszły dyplomatycznie do porządku dziennego — nie mogła przebrzmieć bez echa w prasie ludowej. Tylko „Dzien. Kuj.“ i „Lech“ nie powiedziały o niej ani słowa, natomiast „Dzien. Ber.“ „Postęp“ i „Gaz. Gr.“ niedwuznacznie zaprotestowały przeciwko zarzutom uczynionym przed niemieckiem forum dziennikom polskim. „Gaz Grudz.“ pisze o tem między innemi:

„Co do zarzutu, że ostre występowanie gazet polskich spowodowało „większą część nieprzychylnych zarządzeń władzy państwowej“ i że „tym sposobem wyrządziło polskości wielką krzywdę,“ to nie jest on niczem innem jak powtórzeniem *starego ugodowego hasła „nie drażnić“*. Że taki światły mąż jak ks. prałat Jażdżewski, jeszcze dzisiaj hasłu temu hołduje, to jest to poprostu *bardzo a bardzo smutnem.*

„Zresztą — pisze w końcu „*Gaz. Grudz.*“ — zaznaczamy tutaj, że taka gorąca prośba do gazet polskich, wystósowana z mównicy sejmowej, była wielkim błędem i *zaszkodziła polskim gazetom ludowym więcej, niż najostrzejszy artykuł.*

„Niedawno rozeszła się wiadomość, że ks. prałat Jażdżewski nie chce już dalej posłować, na co z wielu stron odezwały się głosy żalu. I my żałowaliśmy ks. prał. Jażdżewskiego, jako posła wielce zasłużonego i wytrawnego. Ale obawiamy się, że po tem jego nieszczęsnem wystąpieniu przeciwko gazetom polskim, *wielu przestanie ubolewać nad tem, że już posłować nie chce.*“

W „Postępie“ czytamy:

„Nie dziw, że w głowie p. Kościelskiego się zaroiło, ażeby Polacy socyalistów wybierali na posłów do sejmu, a ciby za nich już powiedzieli ostre słowa, przed którymi rząd by miał respekt. Jeżeli delikatną mowę posła ks. Jażdżewskiego się słyszy, to mimowoli myśl p. Kościelskiego, acz niewykonalna przychodzi do głowy. A przecież ks. Jażdżewski to powaga parlamentarna, to parlamentaryusz całą gębą, jak to mówią, a jednak *nie może zastosować się do chwili okropnej, w jakiej się dzisiaj znajduje społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim.* Ks. Jażdżewski, powiemy o tem otwarcie, zanadto się zrósł z towarzystwem, otoczeniem niemieckiem, więc też nie ma dostatecznej siły odpornej w chwilach stanowczych. W Środzie o tem stanowisku ks. dr. Jażdżewskiego bardzo dobrze wiedzą. Wobec rządu, wobec hakatystów, ks. Jażdżewski staje się zawsze delikatnym, natomiast gdy chodzi o samych Polaków mniejszą delikatnością się kieruje.“

W Prusach Zachodnich ruch przedwyborczy wre, ale nie we wszystkich okręgach jeszcze są znani kandydaci. W okręgu toruńsko-chełmińskim kandyduje p. red. Brejski, w Tucholi na pierwszem miejscu postawiono p. red. Kulerskiego. W powiecie kościerskim miano postawić na pierwszem miejscu zasłużonego i dzielnego posła pana *Ł. Czarlińskiego*, lecz do „Oręd.“ donoszą, że w Starogrodzie, który z pow. kościerskim stanowi jeden okręg wyborczy, już postawiono na kandydata p. *Górskiego* z Mirotek. Korespondent „Oręd.“ żąda zatem, aby i w Kościerzynie przyjęto tę kandydaturę, a posła Czarlińskiego radzi postawić w okręgu wejherowsko-puckim, który wybierał dotąd pana Jantę Połczyńskiego. Między innem tak pisze:

„Dopiero w otoczeniu tak wykształconych obywateli, jak p. Górski i p. Jan Brejski, nabrałby jakiegoś znaczenia p. Kulerski jako poseł w Kole; bez towarzystwa tych dwóch osób pan Kulerski nie wyrobi sobie w Kole, jeżeli zostanie posłem, żadnego znaczenia; a kto wie, czy nawet ruchowi ludowemu nie *zaszkodzi* — to jest moje głębokie przekonanie.“

Na Ślązku nie ustają spory pomiędzy „Katolikiem“ a “Górnoślązakiem.“ „Katolik“ oświadcza, że różnica polega tylko na tem, czy „wyborcy na G. Ślązku mają wybierać posłów do *Centrum* czy do *Koła polskiego.*

„Towarzystwo, pisze „*Katolik*“ z „*Górnoślązakiem*“, chcą wprowadzić nową partyą na G. Śląźk. Pierwszym ich obowiązkiem jest wykazać, że ta „partya jest lepsza od partyi centrowej, że skoro posłowie górnośląscy do niej przystąpią, wszystkie sprawy ludu, religijne, narodowe i zarobkowe o wiele się poprawią, że stosunki między ludem staną się lepsze.“

Cobądź „Katolik“ mówi o swej polityce talarowej, nie upoważnia go to do ignorowania polskiego Tow. wyborczego i konferowania z centrum na własną rękę.

„Termin *wyborów do izb rzemieślniczych*, pisze „*Postęp*“, nie jest jeszcze ogłoszony, ale wybory w niezadługim czasie już się odbędą. Wiadomo, że połowę dotychczasowych członków izby rzemieślniczej wylosowano, jak to nakazuje prawo. Do izby rzemieślniczej należy razem 30 członków i tyluż

zastępców, więc 15 członków i tyluż zastępców wylosowano. W ich miejsce będą nowe wybory rozpisane. Chodziłoby teraz o to, aby w niektórych okręgach przeprowadzić więcej naszych kandydatów. Gdy się poszczególne okręgi, a raczej powiaty zorganizuje, to można będzie więcej naszych kandydatów przeprowadzić, lecz bez organizacyi nic się nie uczyni. Głosują jak wiadomo cechy po małych miastach istniejące. Każdy cech ma prawo do jednego głosu, jeżeli posiada 50 członków, od 50 do 100 dwa głosy itd. Za cech głosuje zarząd cechowy. Zatem pomiędzy zarządami cechów musi nastąpić porozumienie na kogo głosować. Można wybierać rzemieślników, chociaż nie mieszkają w tych samych okręgach. Wybranymi mogą być także dotychczaczasowi członkowie izby. Czas największy, ażeby nastąpiło porozumienie między poszczególnemi cechami w okręgach. W każdem mieście powinien się znaleźć jaki majster cechowy, któryby się zajął wyborami.“

Z spraw politycznych, mniej aktualnych zasługuje na uwagę artykuł *„Dzien. Pozn.“*, który studyując pilnie rozwój *stosunków rosyjsko-niemieckich* pisze między innemi, że *„prąd antyniemiecki* w Rosyi w praktycznej polityce nie mógł znaleźć zastósowania.“

„Prąd ten ma swe źródło raczej w pewnym rasowym instynkcie, jak w rozumowaniu. Echem tego prądu jest i po stronie niemieckiej rodzaj przewidywania, muzyki przyszłości, zapowiadającej wielką wojnę, wielki *obrachunek między światem niemieckim a światem sławiańskim*, upatrujący po stronie rosyjskiej w przyszłości jakiś rodzaj Tannenbergu. Instynkt ten i po stronie niemieckiej budzi odpowiednie obawy.

„A jeżeli się z tą możebnością liczymy, pisze „Koeln. Volkszeitung“, powinniśmy Polaków *przeciągnąć na swoją stronę*, co nie trudne. Ale przez prześladowanie Polaków zapędzamy ich w objęcia Rosyi i wzmacniamy myśl panslawistyczną.“

„Widocznie Niemcy nie boją się takiego sojuszu i nie szukają polskiego przymierza, kiedy go nie biorą na uwagę politycznych obrachunków, licząc przedewszystkiem na to, że prawosławna Rosya z katolicką Polską w spółkę antiniemiecką wejść nie może.“

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Inowrocław, dnia 27 stycznia.

Nareszcie doczekaliśmy się dawno oczekiwanego wieca który się odbył w zeszłą niedzielę dnia 25 stycznia r. b. na wielkiej sali hotelu „Basta.“ To co wielu przewidywało, do joty się spełniło: gnuśność i niedbałość naszego komitetu powiatowego wyzyskali socyaliści znakomicie tak, że z odbytego zebrania oni plony sprzątnęli. Z przykrością wyznać muszę, że socyaliści odnieśli moralne zwycięztwo.

Po zagajeniu wieca przez przewodniczącego zebrania p. Marcelego Szypra z Jacewa powołał ostatni p. J. Grosmana, sekretarza komitetu, do odczytania porządku dziennego oraz do prowadzenia wieca. Zaraz na wstępie do porządku obrad zgłosił się na mówcę kupiec p. Ozdowski żądając najprzód skompletowania komitetów tak powiatowego jak i lokalnego a następnie dopiero wysłuchania sprawozdania poselskiego p. Dr. Krzymińskiego: Temu oparł się socyalista p. Podemski na czele swych „towarzyszy,“ których sporą liczbę na sali widzieć było można, a uzyskawszy głos od p. Grosmana w przeszło godzinnej mowie, oklaskiwanej przez całe zebranie, poddał surowej krytyce tak działalność naszych kół poselskich jak i p. Dr. Krzymińskiego. Mowa jego wywierała sympatyczne wrażenie, przez to, że mówca uderzał w ton patryotyczno-polski. Nieznający bliżej p. Podemskiego sądzili, że to mówi narodowo-demokrata. Dostały się w tej mowie nagany naszym obu komitetom, że nie starają się o wykształcenie polityczne naszego ludu, że nie umieją wyzyskać rzuconej nam rękawicy hakatystycznej, do czego się dobrze nada wały głośne wypadki wrzesińskie. Mówca nadmienił, że tylko wtedy rząd pruski będzie się z nami liczył, jeżeli się przekona, że lud polski jest świadomą siebie siłą polityczną. Skrytykował później nieprzyjemne stanowisko naszych posłów wobec cel, za co mu całe audytorium przyklasnęło, bo dzisiaj prawie są wszyscy tego przekonania, że cła ludowi polskiemu nie wyjdą na dobre, tylko przysporzą rządowi znów milionów, z których będzie mógł obficie czerpać na kolonizacyą i antypolskie fundusze. Mówca zaćmił mowę posła dr. Krzymińskiego tak, iż wiec wypadł dla pana dr. Krzymińskiego, koła i nie — socyalistów smutnie.

To też okrzyk, jaki wniósł w końcu zebrania pewien obywatel na cześć koła polskiego, nie znalazł żywego oddźwięku w sercach słuchaczy, tem mniej że wniósł go obywatel, który kokietował z komisyą kolonizacyjną. W tych okolicznościach było koniecznem, aby jaki obywatel, cieszący się mirem, był wystąpił z wymowną obroną koła, by zatrzeć wrażenie mowy socyalistycznej, i po tem dopiero wniósł okrzyk na cześć koła.

Spostrzegaczowi przejawów tego zebrania koniecznie musiała sie nasunąć myśl, że w łonie naszego społeczeństwa dokonuje się ewolucya, przyspieszona rozwojem obecnych wypadków, czego nasze miarodawcze sfery, odgrywające rolę strusia nie widzą. Zdaniem mojem ciężkość naszej nawy narodowej skłania się mocno w stronę postępową i ludową. Lud widzi, że nasi posłowie nie występują dość ostro przeciw rządowi, inteligencya nasza i prasa mało piętnuje frymarkę sprzedawczyków, a władze nasze duchowne, jak by się więcej bały ludzi, niż Boga, krzywdzą go w tem, że ustępując zachciankom germanizatorskim niemieckich katolików, przyczyniają się przez to do usuwania języka polskiego z prastarych naszych świątyń, jak mamy na to najlepszy dowód w Inowrocławiu, gdzie kościół św. Mikołaja należy już prawie do hakatystów katolickich. Że tutejszym władzom wyborczym mało zależy na wykształceniu ludu politycznie, dowodzi choćby to, że od kilku lat nie mieliśmy żadnego zebrania, gdy tymczasem w obecnych stosunkach musiałyby się u nas odbywać wiece przynajmniej co pół roku i to w wszystkich miasteczkach należących do powiatu. Nie zaszedł by z pewnością taki wypadek, jaki się zdarzył w kujawskiej wsi Nieszczewicach, gdzie gospodarze polscy obrali sobie sołtysem Niemca. Zarumienić musiały się Kujawy wstydem, że mają jeszcze pomiędzy sobą gospodarzy tak narodowo nieuświadomionych. Tak dalej iść nie może. Jeżeli nie chcemy naszej narodowej sprawy zaprzepaścić na Kujawach i jeżeli na naszych zebraniach socyaliści rej wodzić nie mają, musimy dać sposobność wykształcenia się politycznego jednostkom z różnych warstw narodu, ażeby mogli odeprzeć takich Podemskich i stawić czoło naporowi socyalizmu.

Kujawiak.

— **Dnia 2 lutego** r. b. o 12½ odbędzie się w Szubinie w hotelu Central Neumanna Walne zebranie przedwyborcze na powiat szubiński.

Porządek obrad:

1. Sprawozdanie poselskie pana Leona Czarlińskiego.
2. Sprawozdanie z czynności Komitetu wyborczego.
3. Sprawozdanie z stanu kasy.
4. Wybór nowego komitetu.
5. Wybór delegata i zastępcy.
6. Wybór posłów do parlamentu.
7. Wolne głosy.

Na zebranie zaprasza uprzejmie

Komitet.



A. Fiedler. r.

Na Balu.

Album „Pracy"

Rysował Edward Bisson.

Drukiem „Pracy"



Dział illustrowany.

Z pobytu Tadeusza Kościuszki w Szwajcaryi.

(Wspomnienie biograficzne.)

(Do ilustracyi.)



Wizerunek Tadeusza Kościuszki z ostatnich lat życia.

Znany jest powszechnie z historyi nieszczęsny rezultat bitwy maciejowickiej, stoczonej na dniu 10. października 1794. Kościuszko pokonany przeważnemi siłami Suwarowa, pomimo niezrównanego bohaterstwa swojej szczupłej armii, dostał się ciężko ranny do niewoli moskiewskiej, i miał podług ukazu zawziętej carycy Katarzyny przebywać do śmierci jako więzień stanu w warownym zamku Grzegorza Orłowa. Ale inaczej zrządziła Opatrzność. Następca jej, car Paweł, któremu historya przyznaje rzeczywiście nieznaną w rodzie Romanowów szlachetność i łagodność charakteru, nietylko powrócił Kościuszce wolność, ale ofiarował mu nadto majątek ziemski, wynoszący podług terminologii moskiewskiej 1000 dusz, żądając od niego tylko słowa, że nie będzie nigdy więcej walczyć przeciw Moskwie. Ale Kościuszko nie przyjął tego daru, prosząc natomiast o zasiłek pieniężny na podróż, który później w całości zwrócił.

Biorąc rzecz ze stanowiska bezwzględnej teoryi o patryotyzmie, nie powinien był może Kościuszko dawać tego słowa, i tu mógłby rzeczywiście upatrywać historyk najsłabszy moment w życiu bohatera; ale trzeba znać dokładnie powody i okoliczności, które skłoniły go do tego na pozór małodusznego kroku, a który w gruncie rzeczy był właśnie tylko wpływem najczystszego patryotyzmu. Nowy car oświadczał się z najlepszemi chęciami dla Polski, potępiając wyraźnie zbrodniczy machiawelizm swojej poprzedniczki; prócz tego zależał od Kościuszki także los wielu innych więźniów, którzy wraz z nim popadli w niewolę. Względy te nie mogły być bez wpływu na postanowienie jego, i one też usprawiedliwiają zupełnie przyjęcie tego warunku z jego strony. Kościuszko dał tedy żądane słowo i dotrzymał go też z wiernością prawdziwie rycerską aż do zgonu.

Powrót do Ojczyzny nie był mu wprawdzie zabroniony; ale nie chciał on krwawić serca swego patrząc na jej nieszczęścia a nie mogąc jej ratować. Jak tylko więc wyzdrowiał z ciężkich ran swoich, odpłynął wprost do Ameryki, gdzie w wojnie o niepodległość Ameryki północnej dosłużył się stopnia jenerała brygady, i tam przyjmowany z największemi honorami, przebywał jakiś czas u przyjaciela swego ojca, Waszyngtona. Wkrótce jednak potem wysłano go ztamtąd w jakiejś misyi dyplomatycznej do Francyi, której zgromadzenie narodowe przed kilku laty już mianowało go honorowym obywatelem tego kraju. Kościuszko przyjechał do Paryża i krótki czas tam bawił; ale skoro sprawa powierzona mu została już załatwioną, nie powrócił więcej do Ameryki, lecz usunął się w okolicę miasta Fontainebleau, i tam na zamku Barville, u wiernego przyjaciela swego Zeltnera, posła Rzeczyposp. Szwajcarskiej, przebył w zupełnem odosobnieniu całą burzę wojen napoleońskich, zajmując się tylko naukami i wychowaniem dzieci Zeltnera. Gdy jednak po wielkiej bitwie pod Lipskiem armie mocarstw sprzymierzonych zalały Francyę i wrzawa wojenna przedarła się aż do jego schronienia; gdy nadto z upadkiem Francyi zasępiła się znowu przyszłość Ojczyzny, którą całem sercem kochał, opuścił po piętnastoletnim spokojnym pobycie ziemię francuzką i przeniósłszy się do wolnej Szwajcaryi, osiadł na stałe mieszkanie w Solurze.

Przed samym zaś odjazdem miał jeszcze sposobność przekonać się, że sława imienia jego nie straciła jeszcze swej uroczej siły na północy. Rekrutowane z ziem polskich wojska rosyjskie srożyły się w okolicy Fontainebleau szerząc dokoła mord i pożogę. Kościuszko

nie mógł patrzeć obojętnie na te okrucieństwa i spotkawszy w pobliżu zamku Berville bandę żołdaków, którzy chcieli właśnie podpalić kilka chat wieśniaczych, wpadł pomiędzy nich i krzyknął:

— Żołnierze, stójcie! Gdym niegdyś był dowódzcą dzielnych wojsk w Polsce, nie myślał nikt o rabunku i surowo byłbym karał żołnierzy a jeszcze surowiej oficerów. którzy-by byli tak jak wy postępowali!

— A któż ty?... — wołano zewsząd, że chcesz nam rozkazywać?

— Jestem Kościuszko!

Na to imię porzucili wszyscy broń, błagali na klęczkach o przebaczenie i tarzając się w prochu, całowali stopy sławnego wodza. Berville ocalało; zamek otrzymał straż honorową z Kozaków, a car Aleksander dowiedziawsry się o tem, napisał do Kościuszki list pełen grzeczności, zapraszając go do siebie do Paryża. Nie przyjął jednak tego zaproszenia Kościuszko, lecz — jak mówiliśmy — odjechał zaraz potem do Solury. —

A miało to miejsce dość powabów dla starca, pragnącego po burzach młodości ciszy i wytchnienia na łonie natury. Spokojne to i schludne miasteczko, położone wśród czarującej doliny, którą jakby olbrzymie ramy opasują sine pasma gór, z jednej strony Jura, z swoim sosnowym porostem i malowniczemi grzbietami, a z drugiej niknący w dali łańcuch Alp szwajcarskich. Same miasteczko zdobiły dokoła jakby zielona wstęga cieniste gaje lipowe (które dziś wyniszczyła już chciwa dłoń przemysłu) i wonne bory sosnowe, a tu i owdzie rozścielały się pośród nich kwiecistym kobiercem bujne łąki i polany, otwierając najcudniejsze widoki miłośnikowi natury; wszędzie jaśniała przyroda jeszcze całą krasą swej poetycznej szaty, nieoszpeconaj nigdzie kopcącym kominem lub prozaicznym budynkiem klekotającej wiecznie fabryki. Miasteczko liczyło wówczas zaledwie pięć tysięcy mieszkańców, ale było siedzibą rządu i gimnazyum, co stanowi zawsze jakiś rdzeń oświaty i życia umysłowego. Sami mieszkańcy nakoniec byłto zawsze ludek ochoczy i żywy i odznaczał się bardzo uprzejmą gościnnością dla cudzoziemców. Bardziej jednak niż to wszystko wabiła Kościuszkę ta okoliczność, że Solura była rodzinnem miastem jego najdroższego przyjaciela Zeltnera i że mieszkał tam brat tegoż, radzca stanu X. Zeltner, kt ry uważał za szczęście pobyt Kościuszki w swoim domu.

Wiadomość o przybyciu tak sławnego cudzoziemca sprawiła wielkie wrażenie w Solurze. Mieszczaństwo okazało mu cześć swoją uroczystem wystąpieniem gwardyi strzeleckiej, a rada stanu wysłała umyślną deputacyą do domu Zeltnera, by złożyć Kościuszce dowód swojego uwielbienia i ofiarować mu swoje usługi. Kościuszko jednak, skromny jak zawsze, nie przyjął żadnych zaszczytów. W domu swojego nowego przyjaciela znalazł pokrewieństwo ducha i serca, miłe i wykształcone kółko rodzinne, przywiązanie oparte na szacunku wzajemnym i najserdeczniejsze przyjęcie.

Starzec sędziwy, osłabiony ranami i długiem cierpleniem, potrzebując pielęgnowania a widząc się samotnym na świecie, przylgnął wnet całem sercem do tego zacnego domu i postanowił przepędzić w nim resztę swojego życia. Prawy charakter gospodarza, cicha skrzętność gospodyni i towarzystwo wesołych dziatek zarówno go pociągały; a spokojne i ustronne pożycie tej familli, otwierające się tylko dla szczupłego grona wybranych przyjaciół, odpowiadało najzupełniej jego życzeniom i skłonnościom. Nawet pokost czysto-mieszczański i skromne stosunki tego domu przypadały do jego zwykłego sposobu życia. Nie był on nigdy miłośnikiem zewnętrznych blasków i wystawności i jak na szczycie swojej sławy, jako dyktator polski, jako wszechmocny naczelnik, prowadził pojedyńcze życie żołnierskie, tak i teraz rad podzielał skromne obiady tej rodziny, sypiał na twardem łożu obozowem, a cała jego troskliwość o wygodę osobistą kończyła się na starym, wiernym słudze i małym koniu, na którym przedsiębrał wycieczki swoje w okolice.

Życie jego było regularne, czas podzielony ściśle po żołniersku. Część jego poświęcał własnym studyom naukowym, szczególnie historyi i geografii, których był wielkim miłośnikiem jeszcze od czasu uwięzienia swego w zamku Orłowa. Więcej jednak niż sobą samym, zajmował się kształceniem Emilii Zeltnerównej, dwunastoletniej córki swego przyjaciela. Milutkie to i pełne zdolności dziewczątko zdobyło od razu jego szlachetne serce, a ponieważ i sama z całym zapałem wrażliwej natury przylgnęła do starca, zawiązał się wnet bardzo tkliwy stosunek między temi dwiema, tak różniącemi się wiekiem duszami, który trwał aż do zgonu jenerała. Kościuszko zawarował sobie, ażeby mu powierzono zupełnie wyższe wykształcenie swojej przyjaciółki i z całą też sumiennością wykładał jej codziennie po kilka godzin geografię i historyę, mianowicie starożytnego Rzymu. Nieraz świadkami takich wykładów bywali znakomici ziomkowie, odwiedzający sędziwego jenerała i w doniesieniach swoich do kraju rozpisywali się ze wzruszeniem o tym serdecznym stosunku między uwielbianym bohaterem i jego „kochaną małą przyjaciółką.“

Ale także oprócz godzin naukowych była nadobna Emilia najulubieńszą jego towarzyszką. Kościuszko lubił bardzo dzieci, a szczególnie naiwne dziewczątka; znało go też z tej strony całe młode pokolenie Solury, które przechodząc zwykle ulicą pieścił i raczył cukierkami; najwięcej jednak tych pieszczot, łakoci i podarunków dostawało się jego elewce. Dla jej miłości urządzał on dziecięce bale i mieszając się między dziatwę podzielał z rozczulającą serdecznością jej rozrywki i zabawy. A nawet tak wielkim był wpływ Emilii na sędziwego przyjaciela, że w końcu stała się pośre-



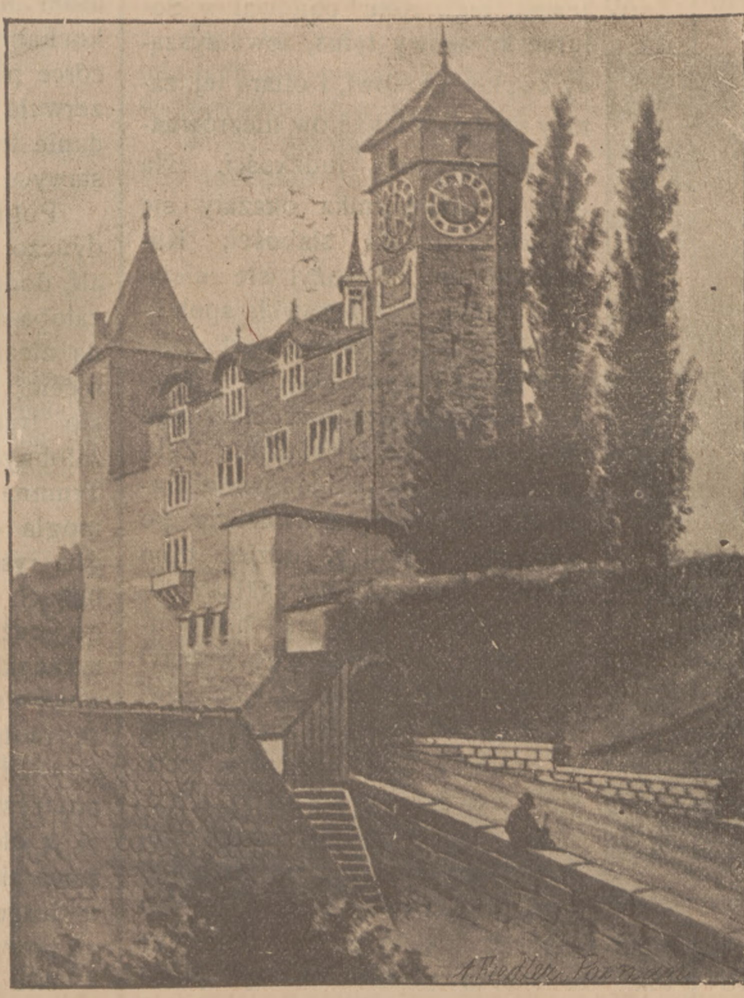
Pomnik Kościuszki na cmentarzu w Zuchwil.

dniczką między nim i światem, odbierała zanoszone do niego prośby o wsparcie, wstawiała się za potrzebującymi pomocy itp.

Zresztą żył Kościuszko w Solurze w wielkiem odosobnieniu, ograniczając się tylko na małem kółku zaufanych przyjaciół, uczonych, kupców, oficerów, którzy co wieczór schadzali się u niego na herbatę. Wizyt z grzeczności tylko nie robił nigdy, a próżną ciekawość, której ofiarą bywają zazwyczaj sławni ludzie, umiał powstrzymywać zdala. Najmilszem mu było towarzystwo wieśniaków, rzemieślników i wogóle ludzi z klasy pracującej; nieraz przypatrywał się po całych godzinach robotom w polu, rozpytując się wieśniaków o różne szczegóły i zwyczaje. Także w sławnych kamieniołomach pod Solurą bywał częstym i mile widzianym gościem i nieraz pomagał sam przy dźwiganiu ciężarów itp.

Wycieczki w okolice miasta przedsiębrał najczęściej konno i bez wszelkiego towarzystwa, a nie wybierał na to nigdy gościńców głównych, lecz samotne drożyny po polach i lasach, wyszukując ubogie chaty rozrzuconych u podnóża Jury wiosek, tudzież ustronne pomieszkania ubogich kamieniarzy i wyrobników. Tu znalazłszy rodzinę nieszczęśliwą, walczącą z niedostatkiem, lub chorego na łożu boleści, zsiadał z konia, uwiązywał go do drzewa, i wchodząc pod ubogą strzechę przynosił jak anioł opiekuńczy pociechę i zbawienną pomoc. W tym celu też woził zawsze z sobą kilka butelek starego wina, które dawał chorym na wzmocnienie. Przez długi czas nikt się nie domyślał, kto jest ten dobroczynny starzec z słodkiem wejrzeniem i zawsze otwartą dłonią; gdyż nim ubodzy mieli czas wyjść z podziwienia, siedział już na koniu i spieszył dalej szukać nowej siedziby nędzy. Ale także żebracy po drogach, wędrująca czeladź rzemieślnicza i inwalidzi nie bywali pomijani bez datku, i nigdy też nie wyjeżdżał on z domu nie napełniwszy sakiewki swej drobną monetą. Koń jego tak był obznajmiony ze zwyczajem swego pana, że stawał przy każdym żebraku siedzącym u drogi i nieruszył się z miejsca dopókąd nie dano mu jałmużny. A że wędrówki takie odbywały się codziennie, bez względu na słotę lub zamieć śnieżną, więc też w krótkim czasie znał jenerał dokładnie statystykę ubogich na kilka mil dokoła.

W zimie z r. 1816 na 1817 panował wielki głód w Szwajcaryi, i drożyzna wzmogła się do tego stopnia, że nawet zamożniejsi mieszkańcy musieli znacznie się ograniczać. Dobroczynna działalność, jaką rozwijał Kościuszko w tym czasie, nie da się zaprawdę opisać! Z podwojoną gorliwością odbywał on swoje wycieczki konne, obdarzał codziennie do pięćdziesięciu ubogich datkami pieniężnemi, zachęcał do składek, do urządzania garkuchni dla ubogich, i był wszędzie czynnym. Nawet znaczne sumy poświęcał często naraz, jeźli potrzeba było wybawić kogo z nieszczęścia, na które nie zasłużył. Dowiedziawszy się raz późno wieczorem, że dwie zacne rodziny w mieście miały być za znaczny dług wyzute wkrótce z całego mienia, wręczył pani Zeltnerowej natychmiast



Zamek Rapperswylski.

potrzebne pieniądze, ażeby je zaraz zaniosła strapionym. „A spiesz się pani“ — dodał — ażeby jeszcze dziś doręczyć pieniądze tym poczciwym ludziom; nie godzi się ani chwilę dłużej zostawiać ich w tem zmartwieniu. A jeźliby spali każ pani ich zbudzić; będzie to radosne przebudzenie, po którem zasną tem spokojniej wiedząc, że nędza nie wisi już nad ich głową.“

W najpiękniejszem jednak świetle przedstawia się szlachetny umysł naszego bohatera w następującem zdarzeniu. W pobliżu Solury, w jednej z najlichszych parafii tego kantonu, urzędował przez długie lata ubogi, ale bardzo zacny pleban. Rząd pragnąc wynagrodzić długoletnie zasługi jego, nadał mu w marcu r. 1817 jedno z najlepszych probostw kantonu, ażeby resztę dni swoich mógł przeżyć spokojnie bez troski i mozołu, załączając do tej nominacyi bardzo zaszczytny dekret uznania. Ale szlachetny starzec nie mógł przenieść tego, by dla własnej wygody miał opuszczać swoją ukochaną trzodę, i nie przyjął ofiarowanego sobie probostwa. Zaledwie dowiedział się Kościuszko o tej szlachetnej rezygnacyi, wybrał się w drogę, ażeby poznać tego prawdziwego sługę Chrystusa. Gdy przybył do skromnej plebanii, był ksiądz zajęty właśnie goleniem się i kazał go przeprosić, że nie będąc ubranym, nie może przyjąć godnie tak dostojnego gościa. Ale Kościuszko nie dał się powstrzymać, wszedł z młodzieńczym prawie zapałem do pokoju plebana, uściskał go ze łzami w oczach i wśród wyrazów najgłębszego poważania ofiarował mu swoją przyjaźń. Odtąd była ta uboga plebania najulubieńszym celem jego wycieczek.

W ciągu dwuletniego pobytu swego w Solurze przedsiębrał Kościuszko także większe podróże konno dla poznania Szwajcaryi Tak w lecie roku 1816 zwiedzał klasyczne miejscowości nad jeziorem Vierwaldstackiem i sławne pole bitwy pod Morgarten. Rozpoznając na miejscu szczegóły tych walk pamiętnych, nie mógł się oprzeć bolesnym wspomnieniom własnych przygód, i ściskając z głębokiem wzruszeniem dłoń swego przyjaciela Zeltnera szeptał: „Ach, czemuż pod Maciejowicami nie ostrzegł i mnie taki Hühnenberg, czemuż Poniński nie był tak zwinnym, jak Reding!“

Inna późniejsza podróż miała na celu Szwajcaryę francuzką, sławny w całym świecie zakład wychowawczy wielkiego pedagoga Pestallozzego w Yverdon. Dwa dni przepędził tam Kościuszko, przysłuchywał się wykładom nauk, rozmawiał z najżywszym udziałem z nauczycielami i uczniami, i wróciwszy ztamtąd mocno wzruszony przemyśliwał do ostatnich chwil życia nad tem, by także w Polsce zaprowadzić szkoły i seminarya nauczycielskie w duchu wielkiego pedagoga z Yverdon.

Na krótki czas przed zgonem zgotowała mu Opatrzność jeszcze dwie miłe niespodzianki, dwa spotkania — niby ostatnie, serdeczne pozdrowienia z dalekiej Ojczyzny, którą tak gorąco miłował. W jednym z klasztorów żeńskich w Solurze osiadła jakaś zakonnica pol-

ska, która zmuszona wypadkami politycznemi opuścić swoją Ojczyznę, znalazła przytułek w tych murach. Jak tylko Kościuszko dowiedział się o tem, odwiedził ją zaraz, zachowując jednak w tajemnicy swoje nazwisko, i rozmawiał z nią uprzejmie językiem ojczystym. Ale nagle rozpromieniła się twarz zakonnicy, powstała szybko jakby przebudzona ze snu i cofając się z wielkiem uszanowaniem — zawołała: „Pan jesteś Kościuszko! Dzieckiem jeszcze będąc widziałam w Polsce medal z wizerunkiem pana, który wszystkie kobiety nosiły na piersiach, i nikt na całym świecie nie może mieć takiej twarzy, pełnej godności i szlachetności, prócz wielkiego Naczelnika.“

Drugą niespodzianką było przybycie księżnej Lubomirskiej, najdroższej nie-



Urna z sercem Kościuszki złożona w zamku Rapperswylskim.

gdyś sercu jego Ludwiki *), która w przejeździe do Włoch odwiedziła Kościuszkę w domu Zeltnerów, i na jego życzenie przedłużyła o kilka tygodni swój pobyt w Solurze. Jej ożyżwiające rozmowy, uprzejmość towarzyska i wesoły humor rozjaśniły ostatnie dni jego życia, Kościuszko bowiem był już wtedy cierpiącym, i podobnie jak owi wieszcze starożytnego świata, przeczuwał blizki swój koniec. Przy pożegnaniu, które było bardzo tkliwe, przyrzekała mu księżna ponowić odwiedziny na przyszłą wiosnę. Ale Kościuszko wstrząsał smutnie głową i prosił ją o jaką pamiątkę. Księżna przysłała mu wkrótce potem z Luzanny złoty pierścień z napisem: „Przyjaźń cnocie“; ale gdy ta obrączka nadeszła do Solury, była już martwą ręka, która ją nosić miała!

W przeczuciu też blizkiego zgonu pewno, wykonał on w tym czasie wspaniały czyn, który w całej Europie wywołał jednogłośny okrzyk uwielbienia i okazał w najpiękniejszem świetle jego szlachetny charakter, mianowicie obdarzył zupełną wolnością poddanych swoich w Siechnowicach. Sławnym dokumentem, wystawionym na dniu 2. kwietnia 1817 r., ogłosił wszystkich włościanów tej wsi wolnymi obywatelami kraju, właścicielami gruntów, które posiadali, i uwolnił ich oraz od wszelkich danin, opłat i robót pańszczyźnianych dla dworu. Równocześnie mianował swoją siostrzenicę, Katarzynę Estkowę, i jej dzieci właścicielami tej posiadłości.

W jesieni tego roku panował w Solurze zaraźliwy tyfus, towarzyszący zwykle głodowi, i ofiarą tej zarazy miał paść także ów niezrównany dobroczyńca ludzkości. Na dniu 1. października okazały się pierwsze oznaki słabości; Kościuszko nie zatrwożył się niemi bynajmniej, lecz z zwykłą spokojnością poczynił natychmiast ostatnie swoje rozporządzenia. Większą część swego dość znacznego majątku przekazał rodzinie Zeltnerów, obdarzając mianowicie drogą Emilię swoją prawdziwie po ojcowsku. Ubodzy, tudzież dom sierot i rozmaite inne zakłady dobroczynności, otrzymali hojne uposażenie, a oprócz tego wręczył on swemu zacnemu przyjacielowi i patronowi Amiet znaczną sumę w gotówce, dla rozdania ubogim wstydzącym się żebrać. Wyraźnie rozporządził, ażeby pogrzeb jego odbył się bez wszelkiej wystawności; tylko sześciu ubogich miało nieść trumnę do grobu. Poczyniwszy te rozporządzenia, odłożył pióro swobodnie i zawołał: „Teraz mi dobrze.“ Wszakże przekonanie jego o blizkosci zgonu było niezachwiane, chociaż objawy słabości nie były wcale jeszcze groźne, i duch jego pozostał przytomnym aż do śmierci. Przez cały czas słabości rozmawiał spokojnie z Zeltnerem, nieodstępującym prawie od jego łóżka, o swojej przeszłości i o przyszłości Polski, którą do ostatniego tchu się zajmował.

Uroczystą i wielce rozrzewniającą była chwila, gdy Kościuszko żegnał swego przyjaciela i jego rodzinę. Wszyscy klęczeli u łoża ukochanego starca; każdemu udzielał on błogosławieństwa, dla każdego miał słowa pociechy i miłości. Potem kazał podług starego zwyczaju podać sobie swoją szablę, patrzył na nią chwil kilka z bolesnem wzruszeniem, a potem położył obok siebie, jak gdyby chciał powierzyć jej straż nad swojemi zwłokami. Dnia 15 października pod wieczór zaczęły go szybko opuszczać siły. I wszystko nasuwało przekonanie, że życie jego wkrótce już zgaśnie. Naraz podniósł się z wytężeniem wszystkich sił na łóżku, podał obie dłonie Zeltnerowi i jego małżonce, spojrzał z słodkim uśmiechem na swoją Emilię i westchnąwszy głęboko opadł martwy na poduszki.

Ciało jego otwierano nazajutrz a potem zabalsamowano. Było ono całe okryte bliznami dawnych ran; kilka głębokich szram zdobiło jego pierś, a na głowie krzyżowały się liczne cięcia. Przy rozbieraniu zmarłego znaleziono na jego piersiach białą chustkę od nosa, która miała być pamiątką po pierwszej kochance jego Ludwice Sosnowskiej, córce pisarza litewskiego, którego duma zerwała ten stosunek miłosny; ale podanie to nie ma żadnej pewniejszej podstawy.

Pogrzeb bohatera odbył się pojedyńczo, bez wszelkiej parady wojskowej, ale dodawały mu świetności powszechna żałoba i postępujący z płaczem za trumną niezliczony orszak tych, którym był ojcem. Sześciu ubogich starców niosło trumnę. Z przodu szły sieroty w żałobnych szarfach i z kwiatami w ręku. Trumna była otwarta, ażeby cała Solura mogła jeszcze raz przypatrzyć się drogim rysom szlachetnego przyjaciela. Po bokach szli młodzieńcy niosąc zmarłego oręż, kapelusz, laskę jeneralską, amerykański order Cincinnata i wieńce z wawrzynu i dębowych liści na czarnych aksamitnych poduszkach. W kościele jezuickim w Solurze, po odprawieniu uroczystego nabożeństwa, złożono zwłoki w ołowianą trumnę, na której położono pieczęć rządową, potem zamknięto w drugą trumnę dębową i zniesiono do grobowców kościelnych.

Nie długo jednak spoczywały te drogie dla Polski zwłoki na obcej ziemi. Ojczyzna przejęta macierzyńskim żalem i miłością, pragnęła otulić je na swojem łonie i nawet nieprzyjaciele jej nie śmieli się oprzeć temu życzeniu. W pół roku potem sprowadzone zostały zwłoki bohatera z wielką uroczystością do Polski i złożone na Wawelu obok królów polskich. Ale serca jego, które wyjęto przy balsamowaniu i w metalowej puszce złożono na cmentarzu w Zuchwil w pobliżu Solury, nie chciała wydać Szwajcarya. „Serce polskiego wodza“ — mówił burmistrz Zeltner do deputacyi polskiej — „biło dla całego świata; niechże więc tutaj znachodzi cześć i uwielbienie całej ludzkości.“

Tak więc pozostało serce naszego wielkiego bohatera na onym cmentarzu w

*) Ludwika Sosnowska, którą Kościuszko kochał za młodu.

Zuchwil do roku 1897; miejsce to uwieczniono pomnikiem, który przedstawia załączona illustracya.

Dnia 11 go sierpnia 1897 r., więc dopiero lat 80 po śmierci Kościuszki, przeniesiono jego serce z cmentarza w Zuchwil do Muzeum narodowego polskiego w Rapperswylu i tam je złożono uroczyście w zbudowanem w tym celu pięknem mauzoleum czyli grobowcu w dziedzińcu wzmiankowanego Muzeum.

Fr. W.

Czy się bawić?

W niewielkim, eleganckim, miejskim saloniku
Siedziały dwie panienki zajęte robotą:
Jedna z nich malowała kwiaty na stoliku,
Druga zaś arabeski szyła nitką złotą.
Przytem się ożywione toczyły rozmowy
Z młodzieńcem, który temat podsuwał wciąż
[nowy.
Był to kuzyn panienek; za granicą bawił,
Pracował tam wytrwale, by wiedzy przyspo-
[rzyć,
Pisywał ztamtąd dużo, dziełami się wsławił,
Teraz przybył dla kraju siły w dani złożyć.—
Mówiono o poezyi, nowych w sztuce prądach,
O smutnym losie naszym, hakatyzmu rządach,
Słowem, bardzo poważne kwestye poruszali,
Bo chociaż młodzi jeszcze, — cierpienie już
[znali.
. . . .
Wtem młodsza z panien, Bronka, wysmukła
[szatynka,
O bieżący karnawał spytała kuzynka:
Czy dużo jest projektów? Jakie będą bale?
Kto będzie gospodarzem? Czy wybrano sale?
Sławek z dziwnym uśmiechem spoglądał z pod
[oka,
Kiedy się odezwała Bożenka, wysoka,
Starsza z sióstr, śliczna panna o greckim pro-
[filu:
„Po kwestyach, dziś przez Sławka poruszanych
[tylu,
Trudno pomyśleć nawet o pustej zabawie,
O owych barwnych tłumach, wesela objawie,
O tańcach i o flircie, o strojach, o szale!
O! dzisiaj mamy w myśli inne rzeczy wcale!
Nam bawić się? Żyjemy wśród wrogów szy-
[kany,
Ziemię nam wydzierają, lud prześladowany,
Język drogi, ojczysty już zewsząd wyparty,
Żałobą się dziejowe okrywają karty!
Ileż matek dziś płacze nad duszami dzieci,
Bo im szkoła nie dała religii, co nieci
Miłość do czynu, pracy dla swoich współbraci,
Nauka ta bez wiary serca nie zbogaci.
Ileż żon, dzieci płacze za tymi mężami,
Co za więzienną kratą opłacają łzami
Słowa, któremi budzić uczucia pragnęli
I siać miłość do ziemi, co na barki wzięli —
Obronę dóbr najdroższych. My tutaj tułacze,
Więc czyż się bawić można, kiedy serce płacze?
Gdy tylu nieszczęśliwych, gdy tyle niedoli,
Kiedy się uginamy pod jarzmem niewoli?"
Sławek uścisnął czule Bożenki rączęta
I rzekł: „Lecz o tem niechaj kuzynka pamięta,
Że młodość ma swe prawa, trzeba i zabawy,
Bo nas w przyszłości czeka bój ciężki i krwawy,
Zbierajmy się więc wspólnie, dodając otuchy,
Gdyż życie nasze będzie jak cierń twardy,
[suchy
I jako ta noc ciemna; niech chociaż wspom-
[nienia
Młodości — będą błyskiem szczęścia, ukojenia!
Niech czasem nam oświecą domowe ognisko
I ogrzeją jedyne tradycyi siedlisko!
Siłą naszą dom polski, walczmy nim i pracą,
Wtedy nas i piekielne moce nie zatracą!
Przy pracy wypoczynek niech czasem zagości,
Więc łączmy się, gromadźmy w zgodzie i jed-
[ności!
Bawmy się, lecz niech skromność będzie nam
[ozdobą,
Bo nie przystoją zbytki okrytym żałobą!"

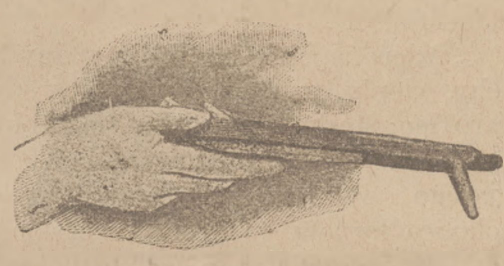
Jadwiga Wyrybkowska.

Mowa wachlarzowa.

(Do illustracyi.)

Jest to szkic illustrowany z życia młodych dziewcząt, kształcących się w wytwornym pensjonacie nad Sekwaną.

Z nieubłaganą surowością panuje nad zakładem jego przełożona. Dawniej



Gardzę panem!

wprawdzie w tej pięknej oranżerji młodych latorośli wiało powietrze łagodniejsze. Ale zdarzyła się przed laty straszna historja wykradzenia czarującej hrabianki Idalji, z której powodu zoile dziennikarscy miotali na głowę przełożonej gromy i pioruny i odtąd w dystyngowanym zakładzie wychowawczym zapanowała surowość nieubłagana.

Ściśle o godzinie ósmej wieczorem



Zbliż się pan!

nadobne elewki musiały usunąć się do sypialnych gabinetów swoich, a w godzinę później wydłużona fasada gmachu leżała już w ciemnościach egipskich.



Kocham pana z całego serca!

Ale to było tylko pozorem i złudzeniem. Po godzinie dziewiątej w komnatach dziewczęcych wrzało pełne życie, a nauczycielka języka francuzkiego, da-



Kocham pana!

ma już przekwitła, ustawicznie opowiadała z uniesieniem o toalecie hrabiny M. na weselu księżnej L. Trzeba było widzieć hrabinę! Suknia barwy rzeki Nilu z woniejącej gazy i szkarłatna zarzutka, do pleców agrafami błyszczącemi przymocowana a do tego wszystkiego fryzura á la Recamier!

W tej sferze powstała mowa wachlarzowa dzięki doświadczeniom życiowym guwernantki.



Chcę się z panem rozmówić!

Oto kanony tej niemej, a wyrazistej konwersacji:

Jeżeli wychowanka szyku francuskiego nie znosi mężczyzny, wtedy zamyka

wachlarz i trzyma go za trzon miękką rączką swoją, a to oznacza: *Je vous deteste!* (Gardzę panem). A zaś gdy wachlarz jest otwarty i na prawą stronę skierowany, wówczas zawiera on hasło: *Monsieur passez!* (Zbliż się pan).

A cóż dopiero wśród tajemnic słodkich miłości! Wachlarz zamknięty i w lewej ręce umieszczony wyraża zaklęcie: *Je vous aime!* (Kocham pana). Lecz i tu możliwe jest stopniowanie.



Miej się pan na baczności, śledzą nas!

Jeżeli młoda elewka najwykwintniejszej edukacji pragnie umiłowanemu powiedzieć czarowne słowo; *Je vous aime de tout mon coeur*! (Kocham pana z całego serca) potrzebuje tylko do połowy otworzyć wachlarz i trzymać jego krańce obiema rączkami.



Idź pan sobie!

O godzinie dziesiątej przełożona odbywa przegląd zakładu. I o dziwo! zastaje wszystkie anielice w uśpieniu.

Tak powstała mowa wachlarzowa, zabawka bez wątpienia wielce romansowa... *W.*

U PODNOŻA
Świętokrzyskich gór.
Wspomnienie z 1863 roku.
Napisał Sewer-Maciejowski.

—*—

(Ciąg dalszy.)

W drzwiach ostatniej chaty, ukazała się chuda, wysoka staruszka, okryta białą płachtą, w białej spódnicy, srebrnych włosach i sama biała. Wargi jej poruszały się, wyciągnięta ręka błogosławiła nam.

Wzruszony podszedłem i pocałowałem błogosławiącą rękę staruszki, żołnierze sprezentowali broń. Z suchych jej oczu płynęły łzy, wargi jej poruszały się nieznacznie, ręka wyciągnięta do błogosławieństwa drżała.

Pomaszerowaliśmy szybko. Na zakręcie drogi obejrzałem się. Ramy drzwi wypełniła słoneczna złotym pyłkiem przesiąknięta jasność. Biała jak śnieg postać, o srebrnych włosach z wyciągniętą ręką, kąpała się w świetlanem złocie.

Dzień zapowiadał się pogodny, cichy, ciepły, szliśmy przyspieszonym krokiem stęsknieni do lasu, jak żołnierze na wycieczce do fortecy. Z panującego wzgórza zrekognoskowałem okolicę lornetą. Oprócz czerwonych sztafaży kobiet pracujących w polu, ruszających się jak mrówki — ani żywej duszy. Słońce na niebie bez chmurki, zieloność na dole i cisza. Pachniało urokiem pogodnego lata i wesela w naturze, a w sercach naszych tęsknota i rozpacz za wolnością, czuliśmy się tułaczami na własnej ziemi.

Obok nas przekłusowało trzech jeźdźców.

— Co słychać? — zawołałem.

— Dobrze — odkrzyknęli, mijając nas.

Posuwaliśmy się w górę. Okolica stawała się smutniejsza i uboższa, w dali czerniała sina smuga. W miarę pochodu rozszerzała się, stawała się wyraźniejszą, zmieniała barwy, wpadając w granat, błękit, aż nareszcie stanął przed nami skąpany w słońcu las. Przyjął nas i schował...

Rzuciliśmy się zmęczeni na ciemny, aksamitny mech i oddychali jakby uratowani. Na skraju lasu obozował pluton kawaleryi, a rej wodził kuśnierz kielecki.

— Nie idziecie dalej?

— Tu nam kazał czekać wódz — odpowiedział mi porucznik, dwudziesto-paroletni chłopak, któremu z oczu patrzały spryt, odwaga i energia.

Po godzinie niecierpliwość zaczęła nami szarpać, powstająca z obaw, aby nas nie pochwycił Czengiery. Rozmowa toczyła się na temat, co robi wódz, w którego dzielność i rozum wojenny wierzyliśmy. Na drodze, którąśmy przeszli, ukazały się tumany pyłu ozłoconego słońcem z przebłyskami srebrno stalowymi bagnetów i kos. Za piechotą posuwały się wozy i kawalerya. Oddział maszerował w szyku bojowym, piechota gotowa na dany znak rzucić się w tyraliery, konnica sformować do ataku.

Porucznik popędził z raportem do wodza.

Czoło kolumny weszło w las cicho, jak gdyby bojąc się stropić nieprzyjaciela. Mimo tej uroczystości i naprężenia, mimo tej niepewności, czy za chwilę nie napadnie na nas Czengiery przeważającemi siłami, wesoło się zrobiło, raźnie, otucha wstąpiła w nasze serca. Zdawało się nam, że dziesięciu Czengierych nie da nam rady.

Nadjechał wódz i wydał natychmiast rozkazy. Dwustu strzelców, rozrzuconych w tyralierkę, poszło w las na lewe skrzydło, ja z nimi, a wódz z nami. Reszta sił cicho posuwała się w głąb lasu.

Przedzierając się przez zarośla, często przez moczary, szliśmy na północny wschód. W dwie godziny zatrzymaliśmy się na wzgórzu gęsto zarosłem młodą olszyną, pokładliśmy się na ziemię, karabiny wyciągnięte gotowe do strzałów.

Jeden ze strzelców rzucił się na prawo, aby zatrzymać oddział w miejscu, gdzie go spotka, Nakazany był największy spokój. Koniom obrok i przedewszystkiem uważać, aby nie rżały.

Wyciągnięci na ziemi leżeliśmy, pułkownik przy nas. Upłynęło zaledwo pół godziny, gdyśmy usłyszeli chrapanie koni i głuchy jęk ziemi od stąpań kawaleryi.

Monotonny, tęskny śpiew kozaków rozchodził się leniwo. Śpiew oddalony cichł, a jęki ziemi wracały. Za kawaleryą maszerowała piechota, za piechotą furgony i cisza. Czuliśmy Moskali o sto kroków od siebie.

— Przeszli — powtarzaliśmy w duchu uradowani. Mimo to, leżeliśmy ciągle, przy nas wódz. Jeszcze raz zadudniała ziemia, widocznie kłusem przebiegła kolumna. Po ciężkich uderzeniach kopyt koni poznaliśmy dragonów i znowu świergot ptaków, radość w naturze — i cisza.

— Przednia straż — rzekł pułkownik — środek przejdzie szerzej, — świsnął, lecz tak tylko głośno, aby go mogli usłyszeć strzelcy.

Zerwali się na równe nogi i na dany znak poszliśmy za wodzem.

— Chwila stanowcza nadchodzi — mówił do mnie. — Albo Czengiery trą-

bal, natłuczemy Moskali obficie, lecz ci nas lewem skrzydłem i wtedy będzie i oni nas przetrzepią, albo nas minie i dziś jeszcze jesteśmy w Kielcach!...

Zrozumiałem grę! — napad na Kielce po ogołoceniu ich z wojska. Genialna myśl: połamania szyków Moskalom i gwałtowny ich powrót do Kielc.

— Pułkowniku — szepnąłem — mam przeczucie, że nas lewe skrzydło nie trąci.

— I ja — chyba jakiś maroder, zabłąkany kozak, rzucony oddział — zobaczymy!... Znam taktykę moskiewską, nigdy swych boków tak szeroko nie rozsuwają.

Szliśmy szybko, strzelcy za nami, sprawnie, jak ludzie przyzwyczajeni do zasadzek i życia w lesie.

Oddział czekał na nas w głębokiej kotlinie. Pułkownik dał znak ręką, zrobiło się cicho. Strzelcy zajęli spadzisty brzeg, karabiny pokładli na ziemię, poprzyklękali.

Wysłany przez pułkownika, dopadłem do dowódzcy kawaleryi z rozkazem, aby żołnierze ściskali nozdrza koniom. Mógłby który z nich zarżeć do koni moskiewskich.

Wróciłem na swoje miejsce, pułkownik podniósł rękę w górę. Sześćset ludzi milczało jak grób, konie nastawiły uszy...

Słyszeliśmy odgłos łamanych gałązek, komendę oficerów: — *priamo, priamo, obzieratsia* — i bicia własnych serc. Strzelcy w kotlinie stali w pogotowiu z karabinami w rękach, gotowi na dany znak lecieć nam na pomoc.

Łamanie gałązek ustało, komenda przycichła, odetchnęliśmy.

Pułkownik znowu rękę wyciągnął w górę. Przechodził drugi oddział, jeszcze bliżej, słyszeliśmy ciche przekleństwa żołnierzy i głośną komendę oficerów. Koń adjutanta pułkowego lub majora zarżał. Żołnierze nasi ścisnęli nozdrza koniom, strzelcy położyli palce na kurkach karabinów. Nerwy nam drżały, z włosów ściekał zimny pot... ucichło!

Uśmiechnęliśmy się, zrzucając głębokiemi westchnieniami stofuntowe z piersi ciężary. Strzelcy złożyli broń do nogi. Staliśmy jak przykuci do miejsc, gdyż pułkownik ciągle trzymał rękę wzniesioną w górę.

Teraz przechodziła aryergarda, lecz już o jakie kilkadziesiąt kroków dalej. Za nią pochód zamykali kozacy.

Niebezpieczeństwo minęło.

Zbiegliśmy ze wzniesienia na dół, nogi nam drżały.

— Odpoczynek — zakomenderował młody wódz.

Zaroiło się w obozie, zabrzęczało, wesoły szum podobny do brzęku pszczół rozchodził się po lesie. Placówki nasze poszły w głąb.

W pół godziny później ruszyliśmy dalej weseli, szczęśliwi, jak gdybyśmy wielką batalię wygrali. Żarty z Moskali nie ustawały.

O czwartej wydobyliśmy się z lasu. Przed nami wił się biały gościniec, po którym dziś pomaszerował Czengiery, aby nas zdławić. Słońce chyliło się ku zachodowi, trzy godziny marszu oddzielały nas od Kielc. Stanęliśmy obozem spokojni i bezpieczni.

— Konie napaść, jeść gotować i o nogach pamiętać — mówił wódz, obchodząc szeregi w wybornym humorze.

(Dokończenie nastąpi.)

Do mety!

Na toniach świata, wśród fali dążenia
Łódź mego życia zwolna się kołysze.
Tam het przedemną lśni gwiazda marzenia,
Za mną grobowe zalegają cisze.

Łagodny zefir moje muska skronie...
Tęskne wejrzenie wysyłam przed siebie,
Gdzie przyszłość świta, gdzie nadzieja płonie
Na mego życia nieznanem mi niebie,

Mienią się gwiazdy w słonecznej jasności,
Na masztu szczycie mewy się kołyszą,
Wiatr w górze szumi piosenkę miłości...
Słucham wód szmeru, upajam się ciszą,

Łono natury tchnie szczęściem, nadzieją;
W każdej wód kropli połyska marzenie.
Zda się, że mewy radośnie się śmieją...
Przedemną przyszłość — a za mną wspomnienie.

Niewiem, co czas mi przyniesie w swem łonie
Jakie mię losy czekają w przyszłości,
Niedbam, co mieszczą przeznaczenia tonie...
W piersi mej serce wrę ogniem młodości...

Mniejsza o losy; ja w kraj ideału
I tak chcę dążyć, pókąd starczy życia.
Wiem, ile zwątpień wśród cierpień nawału,
Wiem, ile w życiu przeszkód do zdobycia.

Kto wierzy w gwiazdę swego przeznaczenia,
Komu cel świeci na życia ścieżynie,
Ten ujrzy kiedyś cel swego dążenia,
Z odmętów życia zwycięzko wypłynie.

Więc dalej naprzód do mety, do celu!
Szczęśliw, kto w świętość ideału wierzy.
Zemną, młodzieży, choć upadnie wielu,
Kto w przyszłość ufa, do mety dobieży.

Jan Koraszewski.

Policzek.

(Z literatury polskiej w Ameryce.)

I.

Byliśmy w wesołym humorze. Byli tam: Jan, Władek, Leoś, Kazik i ja. Na zakończenie pohulanki Leoś, wystąpił z szampanem, a w takich wypadkach młodym ludziom przychodzą do głowy różne błazeństwa.

Nie wiem już który z nich opowiadał facecyą o tem, że ktoś komuś nieznajomemu na dworcu kolejowym dał w twarz... Ale wiem, że mnie niepotrzebnie przyszło do głowy powiedzieć: „To nie sztuka.“

Schwytano mnie jednak za słowo. Powstała sprzeczka: — przyjacielska, wesoła i żartobliwa sprzeczka, ale sprzeczka, i skończyło się na zakładzie. Chodziło o 6 butelek szampana po 3 dolary. Miałem udowodnić, że „i ja potrafię,“ a gdybym nie udowodnił, miałem zapłacić za szampan.

Ośmnaście dolarów nie chodzi piechotą, ale byłbym może wolał je zapłacić, gdyby tu nie chodziło o „honor,“ który mi kazał udowodnić, iż skoro mówię, że potrafię, to potrafię...

Jak pogodzić z „honorem“ — danie w twarz komuś niewinnemu i nieznajomemu, nad tem się nie zastanawiałem. „Honor“ musiał być zachowany i basta! Nic mi nie pozostawało innego, jak iść z przyjaciółmi na dworzec i zakład wygrać.

Był wieczór. Było chłodno i febra mię trzęsła. Może dlatego letnie moje palto zapiąłem, kołnierz podniosłem i zakryłem nim twarz, a na czoło nasunąłem głęboko kapelusz...

Dzwonienie; pociąg nadchodził. Może się jeszcze cofnąć? Głupstwo 18 dolarów! Ale „honor!“...

Pociąg stanął. Minuta przystanku. Wziąłem na odwagę. Począłem biedz jak szalony wzdłuż wagonów, wołając: „Panie Smith! panie Smith!“...

Z różnych okien wagonów wychylają się różni mężczyzni. Obrałem twarz brodatą w oknie mniej z zewnątrz oświetlonem. Pytam się: „Czy pan jesteś Smith?“ — Odpowiedź brzmi: „Nie!“ — „To po cóż się pan wychylasz?“ — wołam z pozorną złością i plask!... zakład wygrałem...

W tejże chwili pociąg ruszył dalej pośród śmiechu moich kolegów. A z jednego z okien wychyliło się ramię groźnie pięścią potrząsające, ale wkrótce znikło w ciemnościach...

Trochę mi się zrobiło nie swojsko, uczułem jakoby wyrzut sumienia. Ale główna rzecz: zakład wygrałem. A nie potrzebowałem obawiać się następstw, bo nie było mowy o tem, bym się kiedy miał spotkać z nieznajomym, lub aby przy spotkaniu przypadkowem on mnie miał poznać...

II.

Upłynęły miesiące. O awanturze na dworcu dawno zapomniałem i miałem głowę zaprzątniętą czem innem.

Byłem zakochany. Ogromnie, szalenie zakochany. We dnie i w nocy

myślałem o chabrowych oczkach Klary, o jej rozkosznym uśmiechu, jej warkoczach jasnych, jej zgrabnej figurze.

Poznałem ją na jednym z balów w karnawale i zdarzyło się, że spotkaliśmy się na dwóch balach następnych. Na trzecim przyszło do wyznań. Posiadałem wzajemność...

Klara niedawno była w mieście. Jej ojciec, urzędnik telegraficzny, z innego miasta został tu przeniesiony. Była jedynaczką. Przystała na to, bym się oświadczył nazajutrz jej rodzicom. Jej ojca na balu nie było; matce swej przedstawiła mię jako nowego znajomego.

Przyszło to nazajutrz i udałem się do mieszkania rodziców Klary. Ona sama w parlorze mię przyjęła.

— Czy przygotowała swych rodziców? Tak, tylko, że... i odeszła.

Co to znaczy: „tylko że?“... Ale nie było czasu się zastanawiać. Otworzyły się drzwi i wszedł...

Nogi podemną zadrżały i czułem, że zbladłem, gdym ujrzał ojca Klary. Był to jegomość, któremu wówczas na dworcu w twarz dałem!

Ale należało miną nadrabiać. Przecież mnie poznać nie mógł. Zebrałem całą odwagę, do jakiej czułem się zdolny i w słowach dobranych przedstawiwszy się, com zacz, oświadczyłem się wedle wszelkiej formy.

Mój teść in spe przypatrywał mi się uważnie i znowu zacząłem blednąć. Potem cokolwiek się zachmurzył. Już się obawiałem, że mię poznaje i z rozpaczliwą bezczelnością spojrzałem mu w oczy, by w danym razie zaprzeczyć wszystkiemu i powiedzieć, iż się omylił.

Ale wkrótce się przekonałem, że obawa nie była płonną. Ojciec Klary powiedział, że się o mnie dowiadywał, że nic nie ma przeciw temu, bym jego córkę pojął za żonę. Ale jest pewien warunek. Oto przed kilku miesiącami miał szczególny wypadek na dworcu. To a to mu się wydarzyło. Postanowił odnaleźć zuchwalca i odpłacić mu policzkiem. W tym nawet celu postarał się o przeniesienie do tego miasta. Ale jego poszukiwania były daremne. Otóż żąda, bym mu pomógł szukać, zwłaszcza, iż podobno znam się z szefem policyi. Skoro z tą sprawą się załatwi, będzie można naznaczyć dzień ślubu.

Próbowałem remonstrować i przekonać brodatego, że to sprawa odrębna i nic nie ma wspólnego ze ślubem. To swoją drogą, a to swoją.

Ale słyszeć o tem nie chciał. Powiedział, że po ślubie będę miał co innego na głowie, że nie zechcę się tem zajmować. Nie zdały się na nic prośby, zaklinania i przyrzeczenia. Albo — albo i basta!

Musiałem się zgodzić. Zmartwiony w połowie, a w połowie uradowany odszedłem, otrzymawszy na drogę jeszcze oczywiście niedokładny, rysopis zbrodniarza — rysopis mój własny! Łamałem sobie nad tem głowę, co robić...

III.

Lekkomyślność moja, a potem fałszywe pojęcie o honorze w miłe wprawiły mię położenie. Miałem teraz polecenie szukania siebie samego i dostawienia do ukarania. Gdybym mu się przyznał do wszystkiego, to przecież wyrzuciłby mię raczej za drzwi, niż oddał mi rękę córki...

Upływały dni, tygodnie, ba! nawet miesiące, a ja nie mogłem zdecydować się na krok stanowczy. Klarcia się niecierpliwiła, a nawet często miewała oczka podpuchnięte z płaczu; mama się gniewała, ale papa był niewzruszony. „Honor“ mu nie pozwalał cofnąć słowa danego i warunku postanowionego. Kto też to „honor“ ten szkaradny pierwszy wymyślił?...

I tak minęła Wielkanoc i Zielone Świątki, a sprawa naszego połączenia się węzłem małżeńskim nie posunęła się ani o krok naprzód.

Nie: raz temu trzeba koniec położyć. Jeżeli w głupi sposób pojęty „honor“ raz mię doprowadził do popełnienia czynu lekkomyślnego, to teraz honor mi niewątpliwie nakazuje z całą męską odwagą przyznać się do tego, i — ponieść skutki. Zresztą wiem dobrze, że mię już tak polubiono, iż zbyt surową kara nie będzie. Co najwyżej mój przyszły teść proforma, z lekka, przysięgę swą wypełni, da mi lekki policzek i sprawa będzie skończona. Że zasłużyłem na taki policzek — muszę przecież w głębi serca przyznać.

A zatem — do czynu! Postanowiłem działać.

Był wieczór. Na balkonie siedzieliśmy wszyscy; poczciwa mama raczyła nas ponczem wedle nowej jakiejś recepty przyprawionym. Papa w doskonały wpadł humor i sypał anegdoty jak z rękawa. Czas był może najodpowiedniejszy.

— Mój panie szanowny — zacząłem trochę niepewnym głosem w czasie pewnej przerwy w rozmowie — postanowiłem panu zrobić pewne wyznanie...

— Cóż, cóż takiego? Może pan odkryłeś tego łotra?... Czy tak? Jakże się nazywa? Kto on jest? Gdzie mieszka?

— To jest... Widzi pan... Ja go znam... Znalem go już dawno. Tylko nie śmiałem...

Sześcioro oczu patrzyło na mnie z ciekawością i zainteresowaniem. Zebrałem wszystkie siły, i powstawszy dla większego bezpieczeństwa, powiedziałem:

— To ja nim byłem!

Klarcia o mało nie zemdlała. Matka załamała ręce. Tylko stary popatrzył na mnie zdumiony a potem... potem zaczął śmiać się, śmiać coraz bardziej i głośniej, formalnie ryhotać, ryczeć ze śmiechu!

— A to doskonale! — zawołał. — Chcesz pan wziąć na siebie winę, ażeby tylko przyśpieszyć dzień ślubu! Ale nie mnie brać na kawał! Nie, taki głupi nie jestem i nigdy nie uwierzę! A słowa zmienić nie mogę. Szukaj pan winnego, a oznaczymy dzień ślubu...

Otóż mam teraz. Ani myśli, abym przekonał starego, że to ja jemu w twarz dałem i nie umiem znaleźć rady, aby przyspieszyć dzień ślubu.

Może który z czytelników ulituje się nademną i na siebie winę weźmie?...

S. P.

Wint.

Razu pewnego, w słotną noc jesienną, Andrzej Stiepanowicz Pieresolin powracał z teatru... Jadąc, rozmyślał o pożytku, jaki przynosiłyby teatry, gdyby w nich wystawiano sztuki o treści moralnej. Przejeżdżając około gmachu, w którym urzędował, przestał myśleć o pożytku teatrów i począł wpatrywać się w okna gmachu, gdzie wyrażając się językiem poetów i marynarzy, sterował. Dwa okna pokoju dyżurowego były jasno oświetlone.

„Doprawdy, czyli oni mordują się do tej pory nad dorocznem sprawozdaniem? — pomyślał Pieresolin. Siedzi ich tam czterech safandułów i dotąd jeszcze nie skończyli. Gotowi jeszcze ludzie pomyśleć, że ja im i w nocy spokoju nie daję... Trzeba ich wysłać do domu... Stój! — zawołał na stangreta.

Pieresolin wysiadł z powozu i poszedł do biura. Główne drzwi wchodowe były zamknięte, tylne wejście jednak, opatrzone tylko zepsutą zasuwką, stało otworem. Pieresolin skorzystał z tego i po upływie niespełna minuty stanął u drzwi pokoju dyżurowego. Drzwi były cokolwiek uchylone, więc Pieresolin zajrzał do wnętrza pokoju i ujrzał coś nadzwyczajnego. Za stołem, zawalonym wielkimi arkuszami rachunkowymi, przy świetle dwóch lamp, siedzieli czterej urzędnicy i grali w karty. Skupieni, nieruchomi, z twarzami zabarwionemi na kolor zielony od abażurów lamp, przypominali legendowych gnomów lub, niechże Bóg zachowa, fałszerzy monet... Większą tajemniczością okrywała ich jeszcze

szczególna gra. Sądząc po ich ruchach, jako też po terminologicznych wyrażeniach, wykrzykiwanych od czasu do czasu, gra wydawała się wintem; wnosząc jednak z tego wszystkiego, co usłyszał Pieresolin, gry owej nie można było nazwać wintem ani nawet grą w karty. Było to coś niesłychanego, dziwnego i tajemniczego... Pieresolin rozpoznał w grających, urzędników: Serafina Zwizdulina, Stefana Kułakiewicza, Jeremiasza Niedojechowa i Iwana Pisulina.

— I jakże ty wychodzisz, djable holenderski?! — gniewał się Zwizdulin, patrząc roziskrzonym wzrokiem na swego partnera. — Któż cię tak nauczył? Ja miałem drugiego Dorofiejewa, Szepielewa z żoną no i Stepka Jerlakowa, a ty wychodzisz w Kofiejkina! Leżymy przez to, bez dwóch! Trzeba ci było wyjść, barania głowo, w Pogankina!

— No, i cóżby się z tego wyrobiło? — odburknął partner. — Gdybym był wyszedł w Pogankina, to Iwan Andreicz miał przecież Pieresolina.

„Moje nazwisko, niewiedzieć po co wplątali... wzruszył ramionami Pieresolin. — Nie rozumiem.‘‘

Pisulin rozdał karty, i urzędnicy wywoływali znowu:

— Bank państwa...

— Dwa — w izbę skarbową...

— Bez atuta...

— Ty powiadasz, bez atuta?? Hm... Trzy, w rząd gubernialny... Jak ginąć — to ginąć, bierz licho! Tamtym razem wpadłem bez jednej na oświatę publiczną, to pewnie i teraz się położę na rząd gubernialny. Jazda!

— Mały szlem w oświatę publiczną!

„Nie rozumiem!‘‘ — mruknął Pieresolin.

— Zdaję radzcę stanu... Zrzuć tam, Jasiu, jakiego radzcę honorowego albo gubernialnego.

— Po co mam dawać honorowego? Palniemy sobie Pieresolinem...

— A my twego Pieresolina po gębie... tak, po gębie... My tu mamy Rybnikowa. Wpadniecie, bez trzech! No, dawajcie tu Pieresolinową! Nie ma co chować jej, kanal i, pod wielki palec!

„Moją żonę obrażają — pomyślał Pieresolin. — Nie mogę zrozumieć...‘‘

Nie chcąc już dłużej pozostawać w niewiadomości, Pieresolin otworzył drzwi i wkroczył do pokoju. Gdyby przed urzędnika stanął sam czart z rogami i ogonem, to nie zdziwiłoby ich to i nie przeraziło do takiego stopnia, jak pojawienie się zwierzchnika. Gdyby im się nawet ukazał zmarły w roku ubiegłym egzekutor i zawołał do nich grobowym głosem: „pójdźcie za mną aniołki, do miejsca zgotowanego dla łotrów,‘‘ gdyby nawet zionął na nich chłodem mogiły, nie byliby pobledli tak, jak obecnie, na widok Pieresolina. Niedojechowowi z przestrachu puściła się nawet krew nosem; Kułakiewiczowi zaszumiało w prawem uchu i rozwiązała mu się najniespodziewaniej krawatka. Wszyscy rzucili karty, powstali z miejsc, spojrzeli na siebie, a potem utkwili wzrok w podłogę. Przez chwilę panowała w pokoju głęboka cisza...

— Ślicznie przepisujecie sprawozdanie! — przemówił Pieresolin. — Teraz rozumiem, dla czego tak długo ślęczycie nad sprawozdaniem... Co robiliście tu przed chwilą?

— Myśmy tylko przez momencik, ekscelencyo... — bąknął Zwizdulin — oglądali fotografie... Odpoczywaliśmy.

Pieresolin zbliżył się do stołu i wzruszył ramionami. Na stole leżały nie karty, lecz fotografie zwykłego formatu, zdjęte z kartonów i naklejone na karty do gry. Fotografii było bardzo wiele. Przeglądając fotografie, Pieresolin odnalazł swoją, podobiznę swej żony, wielu swych podwładnych i znajomych...

— Cóż to za głupstwa... Jakże wy gracie temi kartami?

To nie my wymyśliliśmy ekscelencyo... Uchowaj Boże... Naśladujemy tylko innych...

— Wytłómacz mi Zwizdulin, w jaki sposób graliście? Widziałem wszystko i słyszałem, jak biliście mnie Rybnikowem... No, czegóż się patrzysz? Przecież cię nie zjem? Wyjaśnij!

Zwizdulin stał długo zażenowany i bał się, lecz gdy Pieresolin począł się irytować, parskać i czerwienić się z niecierpliwości, usłuchał zwierzchnika. Zebrawszy wszystkie fotografie, stasował je i począł wyjaśniać:

— Każda fotografia, ekscelencyo, jak i każda karta ma swoje znaczennie... Tak samo jak w talii kart, mamy tutaj 52 fotografie, dzielące się na cztery maści... Urzędnicy izby skarbowej — to czerwień, rząd gubernialny — trefle, urzędnicy z ministerstwa oświaty — karo, piki zaś reprezentują urzędników banku państwa... Dalej... Rzeczywiści radzcy stanu — to asy, radzcy stanu — to króle, małżonki dostojników IV i V klasy — to damy, radzcowie kolegialni — walety, radzcy dworu — dziesiątki itd. itd. Ja naprzykład, oto moja fotografia — jestem trójka, gdyż mam zaledwie tytuł sekretarza gubernialnego...

— To ciekawe... Więc ja, wedle tej gry, jestem asem?

— Treflowym, małżonka zaś waszej ekscelencyi — damą treflową...

— Hm... To bardzo oryginalne... Ano, spróbujmy zagrać! Zobaczę, jak to idzie...

Pieresolin zdjął palto i uśmiechające się niedowierzająco, zasiadł przy stole... Urzędnicy zajęli również miejsca, stosując się do rozkazu zwierzchnika, i rozpoczęła się gra...

Woźny Nazar, który przyszedł o godzinie siódmej rano zamieść pokój dyżurowy, był zdziwiony. Widok, jaki przedstawił się jego oczom, gdy wszedł do pokoju, był tak zdumiewający, iż pamięta go po dziś dzień nawet i wtedy, kiedy leży pijany i utraci całkowicie przytomność... Pieresolin blady, niewyspany i nieuczesany, stał przed Niedojechowem, i trzymając go za guzik, mówił:

— Zrozumże, iż nie powinieneś był wychodzić w Szepielewa, gdy wiedziałeś, że ja mam czwartego siebie samego! Zwizdulin miał Rybnikowa z żoną, trzech nauczycieli gimnazyalnych, moją żonę... Niedojechow zaś miał bankowców i trzech malutkich z rządu gubernialnego... Obowiązkiem twoim było zadać Krzyszkina! Nie zważaj na to, że oni wychodzą w izbę skarbową! Oni mają siebie na myśli!

— Ja wyszedłem, ekscelencyo, w radzcę honorowego dlatego, że oni mieli rzeczywistego...

— Ależ mój kochany, nie można grać w ten sposób! Cóż to za gra!? Tak grywają tylko szewcy. Zastanów się tylko!... Kiedy Kułakiewicz zadał radzcę dworu z rządu gubernialnego, to ty powinien byłeś zrzucić Iwana Iwanowicza Grenlandzkiego, boś wiedział, że on ma trzecią Natalię Dymitryewnę i Jegora Jegorycza... Zepsułeś całą grę! Zaraz cię przekonam... Siadajcież panowie, zagramy jeszcze jednego roberka!

Wyprawiwszy osłupiałego Nazara, Pieresolin zasiadł z urzędnikami do dalszej gry.

A. P. Czechow.

Tłómaczył z ros. G. W.

Z teatru.

Biada kamienicznikom!

(Lokatorowie p. Blondeau), krotochwila w 5 aktach pp. Feydeau i Desvalières.)

Krotochwila spółki francuzkich autorów nie zawiodła w oczekiwaniach licznych gości teatru, żądnych śmiechu, którzy pospieszyli zapoznać się z wesołymi „lokatorami pana Blondeau.“ Śmiech

rozbrzmiewał raz po raz; widz śmiał się nie wiadomo czy z komicznej sytuacyi, czy raczej z samego siebie, że się śmieje z konglomeratu nieprawdopodobnych scenek, goniących jedna drugą.

Bo p. Blondeau, wszedłszy w posiadanie pięciopiętrowej kamienicy nie przypuszcza wcale, że na każdem piętrze, w każdem pomieszkaniu czekają go rzeczy „o jakich nie śniło się filozofom.“ Lecz właściciel, jakby nie fabrykował guzików, lecz całe życie występował w farsach, odbywa podróż po swym domu z humorem, którego mógłby mu pozazdrościć każdy właściciel kamienicy. Jakoż przebrnąwszy przez pierwsze kłopoty właściciela domu, pan B. umizga się do „baronowej“ z drugiego piętra, wtrąca swe trzy grosze w małżeńskie interesy adwokata, unika szczęśliwie policzka ze strony tenora i poczyna hulać z szwaczkami. A chociaż nie zdążył wykonać zamiaru i „zdradzić swej żony,“ — za to wydaje za mąż swą córkę za młodzieńca, który znalazł ojca.

Sztuka z rzędu efemerycznych płodów, które pojawiają się na paryzkich bulwarach i żyją przez jeden sezon w świetle kinkietów, by „zrobiwszy kasę“ nie podnieść się więcej z grobu zapomnienia — zawiera pierwiastki humoru „Jurnal Amusant,“ a więc jako rzecz rdzennie francuzka traci dużo z swej siły atrakcyjnej u nas. Taki pułkownik portugalski to typ z farsy francuzkiej nie przemawiający w tej mierze do nas co do gości Edenu lub Bouffes Parisiennes. A sceptycyzm Paryżanina nie budzi szczerego śmiechu tam, gdzie panuje rubaszny humor polski. Lecz pomysłowość, werwa i szyk porywają widza i unoszą, chociaż sztuka pod względem elegancyi ustępuje innym farsom francuzkim, np. doskonałej w swym rodzaju: Paris fin de siècle.

W właściwem, szybkiem tempie odegrano „Lokatorów pana Blondeau.“ Sceny zbiorowe wyszły zgrabnie i składnie i całość nie uroniła nic z komizmu sytuacyjnego.

Główną rolę piastował *p. Czerniak*, który jako kamienicznik zdawał się bawić sam tak dobrze, że zabawił widzów. Ruchy nóg i mimika jego były bardzo komiczne. Wszyscy inni aktorzy bez wyjątku dorzucili w miarę swych ról szczypkę humoru, i wynieśli za swą pracę żywe oklaski.

Roman Rola.

KRONIKA.

W tych dniach ukazało się w pismach codziennych 7 sprawozdanie roczne o rozsprzedaży telegramów Kościuszkowskich. Obrót był względnie dość znaczny, czysty zysk wyniósł przeszło 850 mk. Cały czysty zysk rozdzielono na cele dobroczynne i ogólno społeczne.

Zwracam na tem miejscu uwagę na telegramy Kościuszkowskie i polecam używanie ich przy każdej nadarzającej się sposobności. Przypomnienie zupełnie na czasie, bo teraz czas ślubów.

W tym wesołym czasie, gdzie nie tylko śluby się odbywają, lecz także bale, może nie na czasie mówić o rzeczach poważniejszych, lecz spróbuję.

Wiemy wszyscy, że od lat kilku rozwijają wielką czynność Spółki i Banki parcelacyjne. Nasz chłop polski, na szczęście dla nas jest chciwym ziemi i kupuje ją rzec można za każdą cenę. Czasem płaci za morgę takie ceny, że zdawaćby się mogło niepodobieństwem, iżby się mógł utrzymać, a jednak się trzyma.

Tym sposobem dużo polskiej ziemi, która byłaby poszła w ręce kolonizacyi, dostało się w ręce mocne, w ręce takie, które ją wtedy tylko wypuszczą, gdy już innego sposobu wyjścia niema.

Lecz zachodzi pytanie, czy majątek narodowy istotnie przyrósł w ostatnich latach, dalej zachodzi pytanie, jaką jest pozycya chłopa na nabytej ziemi?

Ostatnie lata były niezmiernie niekorzystne dla naszego rolnictwa; właśnie nasze dzielnice ucierpiały strasznie skutkiem klęsk żywiołowych. Przypuszczam, że skutkiem tych klęsk przybyło znacznie ciężarów na posiadłościach ziemskich. Warto byłoby rozpatrzeć się w hypotekach i porobić zestawienia.

Podstawą do tych zestawień musiałaby być w każdym przypadku: hypoteka w chwili objęcia gospodarstwa lub nabytej parceli, i stan jej po latach kilku. Dopiero na podstawie takiego porównania możnaby nabrać pojęcia o rzeczywistym naszym stanie majątkowym naszych nowych obywateli ziemskich.

Zestawienie takie wymaga dużo pracy i mozołu, lecz dałoby się w wielu razach przeprowadzić. Mogłyby to mianowicie przeprowadzić nasze Spółki i Banki; mogłyby to nawet zrobić bez szkody dla nikogo, bo przecież ani nazw miejscowości, ani nazw właścicieli wymienić nie potrzeba.

Możnaby podać stan hypoteki w chwili zakupu parceli i stan jej po pewnym okresie, naprzykład po pięcioletnim.

Tym sposobem możnaby się przekonać, jaki jest stan majątkowy naszych parcelantów i czy przy wysokich cenach ziemi mogą się utrzymać.

W tem zestawieniu należałoby też wykazać, o ile klęski żywiołowe lat ostatnich wpłynęły na obciążenie własności ziemskiej.

Nie tylko na tem polu należałoby czynić zestawienia, lecz na wielu innych. Powiedzieć trzeba niestety, że właśnie statystyka u nas zupełnie jest zaniedbaną, a jednak mimo pewnych niedokładności, jakie w każdej statystyce zachodzić mogą, daje ona dużo podstaw do oceniania naszych stosunków ekonomicznych.

Na to wprawdzie trzebaby stworzyć *osobne polskie biuro statystyczne*. Zadaniem tego biura byłoby szeregowanie wszystkich danych z naszego życia ekonomicznego i organicznego. Bogaty materjał miałoby to biuro np. w sprawozdaniach rocznych naszych Spółek, Banków, Instytucyi i Towarzystw. Oprócz tego powinno takie biuro czynić osobne dochodzenia na innych polach. Bardzo dobrze byłoby, gdyby tą sprawą zajęło się które z poważniejszych i zasobniejszych Towarzystw naszych, a może i Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskie uważałoby to za odpowiednie dla siebie zajęcie. Dzisiaj bogaty materjał dostarczany nam w rocznych sprawozdaniach, rozprasza się po pismach i ginie prawie zupełnie, ponieważ nikt tego materjału nie szereguje, nie analizuje i nie wyciąga z niego wniosków. Może myśl ta rzucona znajdzie oddźwięk w szerszych kołach.

Alfa.

Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnią“ załączamy na osobnej i to pierwszej stronie pod okładką.

Wiadomości.

— ***Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

— **Wieś szlachecka** Kaspral pod Kruświcą, około 800 mórg wybornej ziemi kujawskiej z ślicznem zabudowaniem, przeszła mocą kupna na własność domu bankowo - komisowego Drwęski i Langner w Poznaniu; przewłaszczenie już nastąpiło. Dotychczasowym właścicielem był Niemiec p. Zalewski. Kaspral będzie rozparcelowany wyłącznie pomiędzy swoich.

Firmie Drwęski i Langner należy się przedewszystkiem to uznanie, że każdy majątek, który taż firma nabyła, podzielonym został zawsze pomiędzy swoich.

— **Z teatru.** W sobotę dnia 31-go stycznia na wieczór premiowy ukaże się pyszna komedya oryginalna Józefa Korzeniowskiego pt. „Wąsy i peruka.“

W niedzielę dnia 1-go lutego po południu o god. 3-ciej odegraną zostanie niesłychanie zabawna komedya Jordana „Myszy bez kota“ po cenach do połowy zniżonch, a wieczorem po raz drugi „Wąsy i peruka.“

— **Bal na Czytelnie Ludowe** jak słyszymy, odbędzie się 21 lutego. Dowiadujemy się też, że na bal ten zjadą nawet liczni goście z Galicyi.

— **Tutejsze Koło śpiewackie** urządza tegoroczny koncert w sobotę, 7 lutego r. b. połączony z zabawą karnawałową. O ile nam wiadomo, zarząd nie szczędzi kosztów ani trudów, ażeby Szan. Publiczności zgotować prawdziwą ucztę duchową.

— **Na sposoby** biorą się! Urzędnik jednego z naszych banków zgłaszając do urzędu cywilnego przyjście na świat córki, był świadkiem jak pisze „Dz. Pozn.“ ciekawych manipulacyi odnośnego pana urzędnika. Wysłuchawszy relacyi zgłaszających urodzenia kazał spisać protokół, a następnie czytał tenże interesentowi, głosząc polskie dane dziecku imiona a po podpisaniu protokółu czynność kończył. Zdawałaby się sprawa w porządku, tymczasem wykazało się, że tak nie jest — pan urzędnik czytał z protokółu polskie imiona, a w protokóle zapisane były tylko niemieckie imiona. Gdy kolej przyszła na wzmiankowanego urzędnika, tenże przed podpisaniem protokółu zapytał czemże się to dzieje, że imiona czyta się z protokółu po polsku, a w protokóle umieszcza się imiona niemieckie i energicznie żądał sprostowania — czemu też urzędnik stanu cywilnego zadość uczynił.

— † **Z Prus Zachodnich.** Ś. p. Wacław Sulerzyski, były obywatel Prus Zachodnich i dziedzic Piątkowa, Pułkowa, Komorowa, rozstał się z tym światem 8 z. m. w Szydłowie, w Królestwie Polskiem, majątku swej żony. Z ś. p. Wacławem idzie do grobu jedna z najzacniejszych i najzamożniejszych rodzin Prus Zachodnich. Ojciec jego Natalis poświęcił prawie cały swój znaczny majątek w czasie ostatniego powstania dla sprawy narodowej, a wreszcie jako przestępca polityczny, skazany w Berlinie na śmierć, schronił się przed tym wyrokiem za granicę, gdzie życia dokonał. — Wtenczas Wacław, zaledwie 20-letni młodzieniec, pod bardzo trudnemi warunkami, majątek cały przejąć musiał. Widząc jednakże, że przy nim utrzymać się nie może, sprzedawał jedną wieś po drugiej, chociaż za cenę niższą, byle tylko rodakowi. Pomimo ciężkich prób, które w swem życiu przechodził, zawsze był wypogodzony, jako patryota żył ciągle jedną myślą o lepszej przyszłości. Niestety tej się nie doczekał. R. i. p.

— † **Z Górnego Ślązka.** W klasztorze Braci miłosierdzia w Wrocławiu umarł dnia 16-go z. m. na paraliż serca w 75 roku życia ś. p. ks. dr. Świentek, radzca duchowny, dawniejszy proboszcz w Czarnowąsach pod Opolem. Ś. p. ks. Świentek należał do tych zacnych synów ludu górnoślązkiego, którzy sercem i duszą byli mu oddani; więc też gdzie pracował i działał, zdobył sobie miłość i przywiązanie. Zmarły był wesołego i żartobliwego usposobienia; przeto lubiano go także w pożyciu towarzyskiem, zwłaszcza, że do tego był bardzo muzykalny. Gdy jeszcze był w Czarnowąsach, odwiedzał od czasu do czasu redakcyę „Gazety Opolskiej.“ Zwykle wówczas siadał do fortepianu i grał i śpiewał, zaczynając regularnie od czeskiej piosnki:

„Hej Sławianie, jeszcze nasza sławiańska [rzecz żyje,
Póki nasze wierne serce dla narodu bije!“

Przyjacielem i abonentem „Gaz. Opolskiej“ był od czasu jej założenia do ostatniej chwili, a ponieważ miał już bardzo słaby wzrok, przeto musiał mu jeden z braciszków każdy numer czytać od początku do końca. Kapłanów tego pokroju ma dziś lud polski na Górnym Ślązku bardzo mało.

— **Ostrawa Morawska.** Jest faktem smutnym, ale zaprzeczyć się nie dającym, że lud polski rzucony koniecznością warunków ekonomicznych na kresy zachodnie, ulega powolnej, ale stałej germanizacyi i czechizacyi i z biegiem czasu traci nie tylko poczucie świadomości narodowej, ale nawet język ojczysty, który jego przynależność do Polski wskazywał. Aby zapobiedz temu smutnemu stanowi rzeczy, trze-

ba wytrwałej a gorącej pracy nad oświatą polskiego ludu roboczego, trzeba wrogim żywiołom przeciwdziałać na wszystkich polach pracy społecznej, trzeba działać słowem, sercem i czynem.

W tym celu wzniesiono przed kilku laty w Mor. Ostrawie dom polski, założono kilka wypożyczalni książek, a w b. r. otwarto polską szkołę ludową. Wszystko to jednak nie wystarcza. Zarząd miejs. Koła postanowił koniecznie otworzyć w Domu polskim publiczną *bezpłatną czytelnią* dzienników i gazet, by polski lud roboczy miał się gdzie skupiać i oderwany na chwilę od turkotu maszyn i stuku młotów miał możność dowiedzenia się o doniosłych wypadkach w świecie, a przedewszystkiem o ruchu narodowym w innych dzielnicach polskich i tym sposobem nie tylko karmił swój umysł pożyteczną lekturą, ale w ogólnym narodowym ruchu przynajmniej pośredni brał udział. W ten sposób stworzy się w M. Ostrawie dla ludu roboczego własne polskie ognisko a skupieniem sił wyrwie się go ze szponów grożącej mu czechizacyi i germanizacyi.

Ale Zarząd Koła prócz dobrej woli nie posiada żadnych materyalnych środków do zamienienia myśli swej w czyn — i dlatego w imię tak doniosłej sprawy zwraca się do społeczeństwa polskiego z usilną prośbą o pomoc. Z wdzięcznością przyjęte zostaną choćby najdrobniejsze datki na zaprenumerowanie pism polskich, zapewnienie prenumeraty przez osoby życzliwe, wreszcie ofiary w obrazach treści patryotycznej, dla przyozdobienia sali przeznaczonej na czytelnią.

Mamy niepłonną nadzieję, że prośba nasza nie pozostanie bez skutku i że każdy, komu dobro ludu polskiego na kresach leży na sercu, nie uchyli się choćby od drobnej ofiary na rzecz czytelni. Łaskawe datki nadsyłać należy pod adresem Koła Tow. „Szkoły ludowej“ w Ostrawie Morawskiej.

Z Zarządu Koła Tow. „Szkoły ludowej“ w Ostrawie Morawskiej.

Zygmunt Mayer. Dr. Wacław Seidl.

Zmarli.

† **S. p. Marceli Komendziński,** kamelarz ze Sremu, dnia 20 z. m. w Wrocławiu.

† **S. p. Helena Nałęcz Parczewska** w 77-ym roku życia dnia 22-go z. m. w Ostrowie.

† **S. p. Władysław Pospieszalski,** uczeń gimnazyum Ostrowskiego, dnia 24-go z. m. w 16-tym roku życia.

† **Jan Gólcz**, dnia 25 z. m. w Dolsku, przeżywszy 33 lata.

Wiadomości literackie i artyst.

— **Szanownym** Czytelnikom naszym zwracamy baczną uwagę na pisemko pszczelnicze, wychodzące pod tytułem: „Pasieka“ w Poznaniu, nakładem drukarni Fr. Chocieszyńskiego, ul. Wodna nr. 15 — Pisemko „Pasieka“ rozpoczyna obecnie siódmy rok swego istnienia. Już to samo, że „Pasieka“ przez tyle lat pomimo najniekorzystniejszych warunków samo przez się utrzymać się zdoła, świadczy o tem, śe pisemko to czytelnikom swoim wielką korzyść przynosić musi. Tak też jest rzeczywiście. Wszystko, co pszczelarzowi wiedzieć potrzeba, tego z „Pasieki“ dowiedzieć się może. Rozprawy w „Pasiece“ zawarte, są zrozumiale pisane, bo głównie dla naszych włościan, dla ludu naszego pisane. Sumiennie „Pasiekę“ czytelnikom naszym, którzy się pszczelnictwem trudnią, polecamy i do jej abonowania zachęcamy, ponieważ „Pasieka“ jest bardzo tanią.

Na poczcie zapisywana kosztuje 50 fen. kwartalnie, a wychodzi zeszytami co miesiąc raz. — Dwanaście numerów całego rocznika „Pasieki“ tworzą pokaźny tom książkowy, za kilkadziesiąt marek pożytecznych nauk, a w rzeczywistości kosztuje on 2 marki. Szanowni Czytelnicy pszczoły hodujący, zapisujcie „Pasiekę“ a tem dopomagajcie jej do tego, aby nie upadła, ale przeciwnie, aby jak najdłużej wychodziła na korzyść pszczelnictwa naszego, a tem samem na korzyść naszego całego społeczeństwa.

Od Redakcyi.

Panu Józefowi W. w Poznaniu. Wiersza nadesłanego zamieścić nie możemy, bobyśmy się narazili na proces.

Panu Władysławowi K. w Gnieźnie. Z nadesłanego rysunku piórowego kliszy zrobić nie można, dlatego zamieścić nie możemy.

Gerci T. Wierszyki nadesłane są powszechnie znane, dlatego ich nie zamieścimy. Radzimy „Gerci T.“ szczerze, aby się zaprzestała bawić w nieszczęsną wierszomanię, a za to nauczyła się pisać po polsku bez błędu. Czyż to nie wstyd pisać: struż, bryland, szczeńśliwy, nieszczeńście, shylać i t. d.?

Panu L. D. w Czempiniu. Po tylu rewizyach policyjnych, konfiskatach itd. itd. odbytych u nas wówczas „Łapy i łzy“ prawdopodobnie zaginęły i odszukać manuskryptu nie podobno.— Czy jeszcze egzystuje ów komitet zapytaj się Pan kupca p. S. Ziołeckiego we Wrześni.

Pani E. W. w Gnieźnie. Dla **dobrej** krawcowej nadaje się do osiedlenia Grodzisk. Bliższą informacyę poda p. W. Łyczyński, kupiec w Grodzisku.

Panu Franciszkowi K. w Oberćving. W sprawie Pańskiej chcą także służyć informacyą pp. R. Kozłowski w Srodzie i Ruchniewicz w Toruniu (Thorn W. P. Schillerstr. 4.)

HUMORYSTYKA.

Za tanie pieniądze.

— Co tobie jest Kasiu? — rzekła pewna poczciwa pani do swej kucharki — wydajesz mi się codzień smutniejszą?

— Ah! mam chęć pójść za mąż — odpowiedziała zapytana spuszczając skromnie oczy.

— Za kogo?

— Jeszczem nie wybrała sobie nikogo, to nawet bardzo trudno będzie dla takiej biednej jak ja dziewczyny.

— A więc dobrze. Pięć lat już służysz u mnie, jestem z ciebie zadowolnioną i chcę cię uszczęśliwić. Wybierz sobie więc męża, a ja przyrzekam natychmiast dać ci sto marek posagu.

I po tej serdecznej rozmowie, nazajutrz Kasia przedstawiła swojej pani jakiegoś wielce niemiłego drągala.

— Co? — zawołała pani ujrzawszy owego potwora. — Co? ty się chcesz z nim pobrać?

— Ha! trudna rada — odparła Kasia całując panią w ręce — za sto marek nie podobna nic lepszego znaleźć.

Ładna waga.

Wiesz, kochany mój Jacenty,
Że utyłem wielce pono, —
Toż dziś ważę funtów dwieście!
Co na wadze potwierdzono.

Wierzaj, Jacku, że ze strachu jestem srodze drżący, blady, trzeba bowiem szukać będzie w Marjenbadzie na to rady.

— Choć dość jesteś okazały, mówiąc krótko węzłowato, lecz byś ważył funtów dwieście, nie wyglądasz mi coś na to; zatem — wybacz, że ci zadam jedno krótkie zapytanie, oto szczerze mi odpowiedz, gdzieś się ważył drogi Janie.

— Owszem, powiem ci otwarcie, gdyż nie widzę w tem nic złego! ważyłem się dziś na wadze, w składzie węgla Zdzieralskiego. Usłyszawszy to Jacenty, parsknął śmiechem nadto szczerze i zawołał:

— Cny Jasieńku, w dwieście funtów więc nie wierzę...

Jeśli waga Zdzieralskiego
Dwieście funtów wskazywała,
No to ważysz, drogi Janie,
Sto pięćdziesiąt coś bez mała...

Zmiana frontu.

Rzecz dzieje się w kantorze.

— Panie Piórkiewicz!

— Słucham pana dyrektora.

— Coś pan to za głupstwa powypisywał? Ależ to nonsens na nosensie jedzie i nonsensem pogania!

— Przepraszam pana dyrektora, ale przepisałem dosłownie, litera za literą, wiersz za wierszem, z bruljonu pana dyrektora.

— Hm... pokaż no pan... a, prawda! Hm... Widocznie musiałem ja sam utrzymać w bruljonie pewne niejasności gwoli zachowaniu pewnych tajemnic firmowych.

Po balu.

Młodzieniec, po balu, nad ranem, odprowadza damę swoich myśli.

Dama: Oto ulica Strzelecka... już jestem przed moim domem, dziękuję panu.

Młodzieniec (z westchnieniem): O czemu nie mieszkasz pani w... San Francisko!

Selim Mirza.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

1)

I.

Było to na wiosnę podczas wojny francusko-pruskiej. Belfort oblężony był przez prusaków, oddział zaś wolnych strzelców, w którym służyliśmy od pół roku obaj z Selimem, towarzyszem moich lat dziecinnych, kręcił się za ich plecami, bijąc się prawie codzień, chwytając posłańców z depeszami, napadając konwoje z żywnością.

Oddział ten był zbieraniną wszelkiego rodzaju awanturników, po największej części cudzoziemców, ludzi skłonnych do rabunku, grabieży i wszelkiego rodzaju nadużyć, ale też nie ceniących życia, nie mających nic do stracenia, nawpół zdziczałych wśród ciągłego boju i prowadzących rzemiosło wojenne z instynktem i zamiłowaniem dzikich zwierząt. Sami nazywaliśmy się myśliwemi na ludzi, choć trudno było powiedzieć, kto tu był myśliwym, kto zwierzyną, bo i nas tropiono bez odpoczynku z całym niemieckim uporem i wytrwałością. Nie dawaliśmy spokoju, ale też i nie mieliśmy go sami ani we dnie, ani w nocy. Wśród dnia leżeliśmy po największej części w zaroślach, lasach i winnicach, w nocy zwłaszcza, jeżeli zdarzyła się noc ciemna i dżdżysta, wychodziliśmy na łup, podkradaliśmy się pod same obozowiska pruskie, porywaliśmy ludzi z placówek, tępiliśmy patrole, zasadzaliśmy się w rowach kolei żelaznych na pociągi, lub wyrywaliśmy szyny, psuli telegrafy i t. p.

Nikt nigdy, nawet i rząd Gambetty, nie wiedział, gdzie jesteśmy, co robimy i gdzie się udamy. Byliśmy oddziałem luźnym. Nie braliśmy wcale żołdu; jedliśmy najczęściej to, cośmy zdobyli na prusakach, piliśmy wódkę ułanów pruskich, otoczeni na wszystkie strony — zamknięci, rzec można, naokoło murem dział i bagnetów, nie paliliśmy prawie nigdy ognisk, zmoczeni deszczem — suszyliśmy się na słońcu zziębnięci — ogrzewaliśmy się w karabinowym ogniu.

— Mieszkamy za kołnierzem u prusaków — mawiali nasi żołnierze.

Istotnie, daleko za nami była Francya walcząca, uciekająca, były francuskie miasta, francuski rząd, armia, jednooki dyktator, manifesty, generałowie w złotych mundurach, gazety, szpitale wojskowe, zapasy żywności, ale to wszystko było po za nami. Bliżej były oddziały pruskie, bawarskie, saskie, my w ich środku.

Nieraz żelazna dłoń jakiego pruskiego generała opuszczała się na nas ostrożnie i cicho, jak ręka człowieka, który chce schwycić uprzykrzony owad. Upatrzywszy chwilę, dłoń ta spadała wreszcie, jak piorun, i chwytała tylko powietrze — my byliśmy już gdzieindziej.

Czasem znów podstawialiśmy bagnet pod taką dłoń, wówczas cofała się z okrzykiem wściekłości.

Ustawiczna wojna, zdrady, zasadzki wyrobiły w tych ludziach prawdziwie wilczy instynkt. Nie potrzebowali prawie dowództwa: działali cicho, sprawnie, przezornie; wtedy, kiedy polowano na nich, ani chwili nie przestawali polować sami, umieli czyhać po całych nocach i po całych nocach tłumić oddech i po całych nocach wytężać wzrok w jedną stronę, z której miał nadejść łup.

Ryzykując ustawicznie wszystko, umieli zachować ostrożność kota. Nieraz, gdyśmy leżeli w zaroślach, oddziały pruskie przechodziły tak blizko, że zdarzało mi się słyszeć głosy oficerów, ale jeżeli oddział był zbyt silny, nie padł ani jeden strzał.

Pułk wojska, idący wśród promieni słonecznych, rzuca cień.

— Byliśmy zawsze pewni, że kryjecie się w naszym cieniu — rzekł do nas jeden jeniec.

Istotnie byliśmy cieniem pruskim.

Ludzie nasi zatracili w sobie zwolna wszelkie uczucia ludzkie; nie mogę powiedzieć, żeby się bili dla Francyi i za Francyę, bili się, żeby się bić. O Francyę nie dbali. Żołnierzy francuskich z innych oddziałów, lub z armii regularnej, nie cierpieli tak prawie, jak prusaków, a pogardzali nimi więcej, niż prusakami. Przy spotkaniach, które zresztą rzadko się zdarzały, przychodziło zawsze do kłótni i bójek.

— Prusacy uciekliby, gdyby zobaczyli wasze twarze — mawiali do innych nasi żołnierze — ale zawsze widzą tylko wasze... spodnie.

Słowem, był to oddział pod każdym względem wyjątkowy, ale nie był liczny, owszem, topniał coraz bardziej, zarówno przez ciągłe bitwy, jak i przez trudy prawie nadludzkie. Przytem los rannych lub chorych naszego oddziału był straszny. Zostawiano ich po prostu w lesie. Raz, gdy jeden człowiek z nerwowego wycieńczenia upadł i prosił, żeby go dobić, słyszałem, jak odpowiedziano mu:

— Nie bój się, baranku, wilki cię tu znajdą.

Kandydatów nowych brakło, bo taka służba nie nęciła, choć z drugiej strony dawała obfitą nadzieję łupu. Zegarków, pieniędzy i pierścionków, zdjętych z trupów, mieli nasi ludzie tyle, że nie wiedzieli, co z niemi robić. Ale też i nie dbali o nie. W karty nie wolno było grać, kupować nie było co i gdzie, chować nie było warto, bo każdy wiedział, że prędzej czy później zginie.

Oddział więc codzień stawał się mniejszy; kandydatów brakło jeszcze i dlatego, że nie było w nim żadnej dosługi. Żołnierz miał w kieszeni śmierć, nie buławę marszałka. Rząd obrony narodowej w buletynach swoich wspominał o nas bardzo rzadko.

— Oni o nas nie wiedzą — mawiał nasz dowódzca, który tego rządu nie cierpiał.

Jednooki dyktator chciał nas jednak widzieć i przesłał rozkaz do La Rochenoire'a, naszego dowódzcy, ażebyśmy się stawili na wskazane miejsce, ale La Rochenoire nie usłuchał rozkazu i zamiast na wskazane miejsce, poszedł na zasadzkę.

— Jeżeli nas chce widzieć — rzekł — niech przyjedzie do nas balonem, on to umie.

Zresztą, na paradzie oddział nasz źleby wyglądał: ludzie byli wychudli, poczernieni dymem, w mundurach podartych na strzępy, o oczach zaszłych krwią; niektórzy mieli głowy poobwiązywane chustkami, poplamionemi zaschłą posoką, nie czesani, nie myci, podobniejsi byli do zwierząt, niż do ludzi.

Ja znalazłem się w tym oddziale wypadkowo: namówił mnie do tego Selim. Kiedy wojna rozgorzała i kiedy obaj wybieraliśmy się z Paryża, ja chciałem wstąpić do armii regularnej, ale Selim rzekł:

— Pójdziemy do La Rochenoire'a.

— Co to za jeden?

— Formuje oddział strzelców.

— Czy go znasz?

— Tak.

Skąd go znał, nie chciał mi nigdy powiedzieć, domysły zaś moje w tej mierze nie mają nic pewnego. Wiem, że, jeszcze przed wojną, Selim, który miał sporo pieniędzy, więcej nawet niż ich mógł wydać, awanturował się w Paryżu; wiedziałem, że miał pojedynek z kimś, należącym do arystokracyi francuskiej, i że trzykrotnie wytrącił mu szpadę z rąk, szczegółów i nazwisk jednak nie wiedziałem nigdy dokładnie. Były to czasy, w którym z Selimem nie żyliśmy blizko. Naprzód on był bogaty, powtóre, bądź co bądź, dzieliło nas wspomnienie Hani. Wprawdzie Selim postąpił z Hanią, jak człowiek honoru, nie mogłem jednak opędzić się myśli, że gdyby nie on, ukochana moja Hania nie przeszłaby strasznej choroby, nie przywdziałaby sukni zakonnej, że wreszcie, gdyby nie on, ja byłbym szczęśliwszy: nie miałbym w duszy takiej pustki, z jaką nosiłem się od lat ośmiu, i — może nawet — zamiast tułać się za granicami kraju, orałbym spokojnie zagon rodzinny.

Nakoniec, bolało mnie jeszcze i to, że podczas gdy ja, który mniej względem Hani zawiniłem, nosiłem się

jednak ze smutkiem i jakby wyrzutem w duszy, Selim zapomniał o niej zupełnie. Przybywszy do Paryża, oddał się szumnemu, gorączkowemu życiu tego miasta z całą namiętnością swej wschodniej natury. Selim nigdy i w niczem nie znał hamulca. Jego majątek, rodowe nazwisko Mistrzów Dawidowiczów, tej dumnej szlachty, jego wykształcenie wreszcie, bystrość umysłowa, żartki dowcip, a nakoniec piękność, odziedziczona po matce, otworzyły mu wszystkie podwoje rozkoszy w stolicy świata. Przyjmowano go wszędzie i rozrywano wszędzie. Ach, bo też piękny był ten chłopak, jak pomysł artystyczny, z temi swojemi anielskiemi oczyma biorącemi wprost za serce, z głową o liniach godnych dłuta rzeźbiarza, z wyniosłą giętką postacią, ze skrzydlatą młodością i bogactwem życia tak nieprzebranem, że im więcej rozrzucał je na wszystkie strony, tem więcej zdawał się je posiadać.

A przytem, nie był to piękny mężczyzna w znaczeniu tylko bulwarowem, jak zwykł pojmować piękność Paryż: w znaczeniu zwykłem, pospolitem. Wszystko, począwszy od umysłu, od owego nadmiaru życia, z którem sam nie wiedział co ma robić, a skończywszy na rysach twarzy, było w nim oryginalnem, niecodziennem.

Dla Paryża ten młody tatar, o rysach anioła, sile atlety, odwadze lwa i herbowej tarczy rycerza,byłto kwiat o nieznanej barwie i woni. Łatwo zrozumieć, jak wyglądali przy nim markizowie nadsekwańscy: ich — życie szalone wyczerpywało, jego — zdawało się wzmagać, oni byli duszami zgasłemi, jak wypalone lampy, on nawskroś był płomieniem, oni się przeżyli, on nie wiedział, co z życiem robić, oni byli rozczarowani, on sam był czarem, i wszystko naokół niego było dlań czarem.

Dla nich orgia była podnietą stępiałych nerwów, dla niego — ochłodą przed zbytnim żarem krwi. A przytem, męty, leżące na dnie kielicha, nie czepiały się jego ust, zło odpadało od tej szlachetnej natury, jak suchy piasek od skały.

Charakter ten urabiał się w moich oczach, widziałem, jak się rozwijał prawie z dnia na dzień, dlatego znalem go nawskroś. Był to tenże sam Selim z lat dziecinnych, tylko podniesiony do potęgi.

Przeświadczenie o własnych siłach dało mu pewność, przeświadczenie zaś, poparte wrodzoną inteligencyą, o nizkości i fałszywych pozorach większej części dusz ludzkich nauczyło go lekceważyć mężczyzn. Zarody niepohamowanej energii i przedsiębierczości, jakie tkwiły w nim od lat dziecinnych, wybujały teraz do najwyższego stopnia, okrzepły i czyniły go pod pewnym względem niebezpiecznym.

Została mu dawna żywość i trochę nieopatrzności, która łatwo mogła przy namiętnej, wrodzonej mu naturze przechodzić w zapamiętanie i szaleństwo, ale od zapamiętania i szaleństwa broniła go świadomość siebie, którą daje ludziom wykształcenie i subtelne, filozoficzne poniekąd poczucie każdego czynu, słowa, położenia i idei.

Nie był nigdy sentymentalny, ale jeżeli coś podobnego do sentymentalizmu drzemało za lat dziecinnych, choćby w atomie tylko, w jego naturze, teraz rozwiało się to bez śladu. Oto dlaczego wspomnienie Hani nie zostawiło w nim ani cienia smutku lub zarzutu. Kochać się umiał wśród śmiechu, pocałunków, radości i wesela, wzdychać nie umiał.

Takie usposobienie jednak zgadzało się z charakterem i usposobieniem kobiet stolicy świata, dlatego kobiety te szalały za nim, chociaż wiedziały, że zdradzi je równie łatwo jak bez wyrzutów, kiedym zaś o tem z nim mowił, odrzekł mi:

— To nie obowięzuje, bawię się. Gdybym znalazł prawdziwą miłość, dałbym sobie rękę uciąć, jeżeli ona istnieje, z nas dwóch ty jej będziesz dłużej szukał, ale ją znajdziesz prawdopodobniej.

— Więc zwodzisz, gdy mówisz: kocham?

Uśmiechnął się.

— Nie, wiem wprawdzie, że później zwiodę, ale gdy mówię, nie zwodzę.

Mężczyźni, z którymi się spotykał, dzielili się na dwa obozy: jedni przepadali za nim, drudzy go nienawidzili. Co do Selima, miał swój nader oryginalny pogląd na nich.

— Wolę tych, którzy mnie lubią, ale szanuję więcej tych, którzy mnie nienawidzą, ci są samodzielniejsi — mówił do mnie.

Potem zaś zwykle dodawał:

— Zresztą, nie dbam o wszystkich.

Jednakże był doskonałym towarzyszem. Serce miał dobre, poczciwe, serce na dłoni, więc pomagał komu mógł i gdzie mógł, ale w przyjaźń nie wchodził łatwo; w chwili, kiedy z kimś dzielił się wszystkiem jak z bratem, kochał go też jak brata, wtedy uczucie jego bywało szczere, niemal naiwne, płynące z głębi duszy, ale potem też same stosunki brał lekko. Selim wszystko brał trochę lekko.

Jednakże, gdy z powodów, o których już wspomniałem, odsunąłem się cokolwiek od niego i począłem żyć zamknięty więcej w sobie, Selim gryzł się tem niepomału. Z początku niejednokrotnie pytał mnie:

— Czego ty, waryacie, chcesz ode mnie?

Później przestał pytać, ale nie przestał boleć wewnętrznie. Nieraz ze zgiełku, rozkoszy, blasków i wielkiego życia, biegł do mojej izdebki na Montmartre i, siadłszy pod oknem, wodził troskliwie za mną swemi anielskiemi oczyma, jakby pragnąc dopytać się do mego serca. Co do mnie, nie przestałem go kochać, owszem, może właśnie dlatego, że usposobienia nasze były wprost przeciwne, miałem dla niego tyle przynajmniej słabości, ile przywiązania. Ale cień Hani, który dla niego przestał istnieć, dla mnie stawał między nami. Zresztą, miałem i inne powody.

Oto nie mogłem z nim żyć na równi, a przytem on był wesoły, ja byłem smutny. O tak, ja miałem dosyć powodów do życia zdaleka od Selima, alem ich nie mógł mu zwierzyć, bom się obawiał jego współczucia. Miałem to w naturze, żem goryczami nie dzielił się z nikim nigdy. Kiedy poczułem cierń w sercu, wtedy zamykałem je tak, jak się zamyka muszla, w którą wpadnie ziarnko piasku. Zresztą, tak samo nie zwierzałem się nikomu i w szczęściu. Kto to czyni, czyni na mocy wewnętrznej potrzeby, ja nie czułem tej potrzeby.

W takich więc warunkach żyliśmy od lat kilku w Paryżu. Jam wegetował, on kwitł. Tymczasem wybuchła wojna. Wiadomość o niej przyjęliśmy obojętnie. Cały Paryż uważał ją z początku jakby wojenną paradę. Sądzono, że sam widok brodatych żuawów i czarnych afrów rozproszy Niemców na cztery strony świata. Sami owi żuawi i turkosi ciągnęli z Paryża na wschód, jak stada ptaków drapieżnych na łup. Dyszeli żądzą boju i krwi, drżeli z niecierpliwości, by jaknajprędzej znaleźć się w dymie, huku i kurzawie wojennej. Paryż upoił się, ale o przyszłość był spokojny.

— Jeden więcej tryumf — sądzono — i oto koniec będzie wszystkiemu.

Ale kiedy dym z dział pod Wissenburgiem, Gravelotte i Sedanem opadł, przerażone oczy Francuzów ujrzały klęskę najstraszniejszą, jaka kiedykolwiek na nich spadła. Owe pstre, czerwone, czarne pułki pierzchnęły przed żelaznemi legionami Niemców, jak leśne ptactwo przed stadem jastrzębi, a naokoło stolicy świata zacieśniał się coraz bardziej ciemny, a groźny mur pruskich wojowników. U bram Paryża, po nocach, zaczęło się rozlegać rżenie konia Atylli. Od czasu do czasu, wśród milczącego miasta, zatętniły kroki gońca i rozległ się głos: „Pobili naszych! nowa klęska!‟ Paryż na chwilę przykląkł, jak buhaj uderzony obuchem między rogi, ale potem podniósł się i ryknął.

Cały zresztą naród zerwał się do obrony. Groźny jednooki dyktator pożeglował z miasta balonem. Szale wojenne poczęły się wahać na nowo. Na północy, na południu, na wschodzie i zachodzie Francyi formowano oddziały, armie wyrastały z pod ziemi, jak grzyby. Kraj najeżył się bagnetami.

W takich to czasach, pewnego wieczoru wpadł do mnie Selim z rumieńcami na twarzy i z zaiskrzonemi oczyma.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

42) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Na tablicy napisane były następujące słowa:

— Ten nieznajomy został zastrzelony w ogrodzie strażnika kolejowego, dom pod num. 37. Jest on jedną z tych trzech osób,które były zamknięte w karecie, stojącej na szynach. Po szczęśliwem uniknięciu tego niebezpieczeństwa popadł w drugie. Papiery, znalezione przy nim dowodzą, że nie był Francuzem tylko Niemcem.

— Biedny Antoni, — szepnęła piękna kobieta, — umarłeś zdala od twej ojczyzny. Ja wiem, dla kogo poniosłeś śmierć! Żegnam cię, mój wierny przyjacielu!

W tej samej chwili zbliżyło się kilku urzędników, i jeden z nich zwrócił się z nizkim ukłonem do młodej kobiety, stojącej przy trupie mężczyzny.

— Znalazłaś pani tego, którego szukałaś? — zapytał.

— Tak, — odrzekła, — i teraz też powiem moje nazwisko. Jestem baronówną Nelly Rosen, dworską damą cesarzowej austryackiej, bawiącej obecnie w Paryżu jako hrabina Hohenfels. Ten zmarły należał do służby cesarzowej, był on jej przewodnikiem w górach i jej najwierniejszym towarzyszem. Nazywa się Antoni Anhuber. Wczoraj wyszedł na miasto, aby szukać kobiety, znajdującej się w rękach zbrodniarza i przez niego też zapewne został zastrzelonym. Zbrodniarza tego szukają wszystkie władze policyjne w Europie!

— W takim razie powinnaś pani iść natychmiast do prokuratora i opowiedzieć mu całą sprawę. Zarządzonoby zaraz obławę na mordercę. Czy cesarzowa każe zabrać z trupiarni ciało Tyrolczyka i pochować je własnym kosztem? Chciałbym to chętnie wiedzieć!

— Zapewne, ale muszę jej najpierw o to zapytać!

— Dobrze! Poczekamy jeszcze do południa!

Potem obrócił tabliczkę i napisał na niej kredą:

— Tożsamość stwierdzona.

Nelly, oparta na ramieniu sekretarza wyszła teraz z okropnej tej sali.

Te same pytania i formalności odbyły się przy trupie Rozalii.

Ryszard oświadczył, że pogrzeb odbędzie się kosztem rodziny, i po podpisaniu odnośnego formularza wyszedł i on z narzeczoną z tego przybytku śmierci.

Na dworze jasne świeciło słońce i całe miasto wrzało życiem.

Pobyt w Morgue wydawał im się strasznym snem, którego wspomnienie, jak kamień, ciężyło im na sercu.

* * *

Następnego dnia, nad wieczorem, odbyły się dwa pogrzeby równocześnie.

Za jedną trumną szły dwie piękne, wytworne kobiety, czarno ubrane, a twarze ich wyrażały szczery smutek. Cała trumna pokryta była alpejskiemi fiołkami i szarotkami — były to ulubione kwiaty jego ojczystych i ukochanych gór.

Kilka kroków dalej składano do grobu małą trumnę z ciałem Rozalii. I tu płynęły łzy, i tu zasypano mogiłę kwiatami, ale żaden ksiądz nie odmówił modlitwy za duszę zmarłej.

Samobójczyni nie spoczęła w poświęconej ziemi!

Może Bóg jednak, znając jej czyste serce, zlitował się nad nią i przebaczył jej ten grzech ciężki.

Z pogrzebów szli wszyscy razem — obok cesarzowej



Cichy pogrzeb.

Elżbiety i jej dworskiej damy, szedł sekretarz policyi Greffin; na cmentarzu nie było ani cesarzowej, ani biednego urzędnika policyi, tylko zwykli śmiertelnicy, opłakujący tych, których kochali i szanowali!

ROZDZIAŁ LXVII.

Trzy czerwone róże.

Józefina znała teraz przynajmniej nazwisko tego, który sam jeden tylko mógł wyjaśnić tajemnicę jej urodzenia.

Był to doktor Tritoni!

Zamiast więc jechać do Londynu, poszła zaraz na drugi dzień do jego mieszkania.

Ale jakież było jej rozczarowanie, gdy jej tam oznajmiono, że doktor Tritoni już od dwóch lat mieszka stale w Monte Carlo, gdzie własną posiadą willę!

Nie namyślając się więc długo, zapakowała rzeczy i pojechała do niego.

Ale i tutaj nowa ją przykrość spotkała.

Gdy zadzwoniła do willi doktora, wyszedł stary służący i rzekł:

— Doktor Tritoni wyjechał przed tygodniem do Paryża. Zawiózł tam ciężko chorego pacyenta, i zdaje mi się, że przed upływem kilku miesięcy nie wróci do domu.

— A gdzie mieszka pan doktor w Paryżu? — zapytała Józefina.

— Znam wprawdzie jego adres, ale nie wiem, czy mam prawo powiedzenia go pani! Mój pan ma dużo przyjaciół, ale więcej jeszcze nieprzyjaciół, mianowicie od czasu, gdy wziął do swego domu owego pacyenta. Pacyent ten był ciężko chory — są ludzie, którzy pragną jego śmierci, dlatego nie mam nikomu zdradzać ich adresu w Paryżu!

Józefina była w rozpaczy.

— Mój przyjacielu — zawołała ze łzami w oczach — całe szczęście mego życia zależy na tem, abym się mogła widzieć z doktorem i rozmówić z nim... Przysięgam na Boga, że nie mam względem niego nic złego na myśli! Chcę go tylko zapytać o moje pochodzenie — on był przy mojem urodzeniu się i z jego pomocą pragnę odszukać moich rodziców!

Służący uwierzył Józefinie i napisał jej adres doktora:

— Rue Montmartre, 50.

— Zamieszkuje on cały dom, — dodał jeszcze, ale nie

sam. Jego pacyent jest tam także! Doktor pokochał go jak syna, ale Rigo zasługuje też na to!

— Rigo- — powtórzyła Józefina zdumiona. — Gdzie ja słyszałam już to imię? Ah, wiem teraz, stara cyganka Marta i Sagunta opowiadały mi o nim!

Stary sługa, któremu nogi drżały od długiego stania, usiadł na ławkę i poprosił także Józefinę, aby nieco wypoczęła. Młoda kobieta przyjęła z wdzięcznością tę propozycyą, a starzec cieszył się, że może przez chwilę z kim pogawędzić.

— Zkąd doktor Tritoni poznał cygana? — zapytała Józefina, mimowoli zaciekawiona.

— Ah, to dziwna historya! Mieszkał tu pewien bogaty Amerykanin, mający piękną córkę. Miss Klara, tak było jej imię, wyszła na rozkaz ojca za mąż, za księcia Chimay, ale kochała od dawna już innego, a tym innym był właśnie cygan Rigo! Byłaby wolała zostać żoną prostego cygana, niż księżną, ale ojciec ani słuchać o tem nie chciał! W dzień ślubu odbył się pojedynek pomiędzy księciem a cyganem, i biedny Rigo ciężko został rannym. Leżał długo w chacie rybackiej, potem jednak zabrał go doktor Tritoni do swego domu i zwolna wyleczył go zupełnie.

Ale zaledwie Rigo siły odzyskał, postanowił nieodwołalnie jechać do Paryża, bo wiedział, że tam znajduje się książę Chimay z żoną!

Doktor odradzał mu to, ale gdy się przekonał, że Rigo wolałby umrzeć niż wyrzec się swego planu, pozwolił mu jechać pod warunkiem, że będzie mu towarzyszył. Chce on go tam ustrzedz od popełnienia jakiego szaleństwa.

Opowiadanie to dziwne na Józefinie wywarło wrażenie.

Słuchając historyi miłości bogatej Amerykanki i Riga, myślała o biednej Saguncie, która go także kochała, a którą on widocznie zdradzał i oszukiwał!

I żal jej było tej ślicznej, czarnookiej cyganki, która zapewne czuła się teraz bardzo nieszczęśliwą!

Po krótkim wypoczynku w Monte Carlo wyjechała Józefina tego samego dnia jeszcze do Paryża. Zamieszkała tu w jednym z skromniejszych hoteli, i przebrawszy się w inną suknię, poszła natychmiast na ulicę Montmartre.

Doktor Tritoni sam otworzył jej drzwi, a łagodna jej twarz i oczy tchnące szlachetnością i niezmierną dobrocią serca, wzbudziły w niej od razu wielkie do niego zaufanie.

Ale gdy usłyszał w jakim celu do niego przybyła, zachmurzyło się jego czoło.

— Moje dziecko, — rzekł serdecznie, — wierzę, że ci bardzo wiele zależy na poznaniu twych rodziców, nie wiem jednak, czy byłoby dobrze.....

— Ach, — przerwała Józefina, — pan nie możesz wcale pojąć, jak gorąco pragnę poznać moją matkę! Każda żebraczka ma i zna swoją matkę, tylko ja nie mogę doznać tego szczęścia! Zmiłuj się pan i powiedz mi, gdzie jej szukać! Powiedz mi jej nazwisko!

— Słuchaj pani, — zaczął doktor poważnie, — co ci powiem. Ja znam twoich rodziców i mógłbym ci łatwo utorować drogę do nich, ale dwa ważne powody wstrzymują mnie od tego. Najpierw moja przysięga dana lordowi — że nigdy w życiu nie wyjawię tajemnicy.....

— Jak pan mogłeś dać to przyrzeczenie! — zawołała Józefina.

— Byłem wówczas młodym lekarzem i przybyłem do Londynu, aby tam szukać szczęścia! Dziwny jeden wypadek był powodem, że popełniłem wielką omyłkę w sztuce lekarskiej, ojciec twój wiedział o tem, i nie chcąc narażać całej mej przyszłości, nie chcąc, aby się policya w to wmieszała, musiałem przystać na jego żądanie! Drugim powodem, dla którego nie pragnąłbym zdradzać tajemnicy, jest wielki rozgłos i procesa jakieby ztąd wynikły! Powiem ci też otwarcie, że jesteś córką lorda, ale nie znam cię i nie wiem, czy jesteś godną i nazwiska tego i majątku! Zostań więc przez pewien czas w mojej blizkości, abym poznał twój charakter i twoje usposobienie. Może być, że potem sam przyjdę do ciebie i dam ci wszystkie dowody twego wysokiego pochodzenia! Staniesz się bogatą, wprawdzie kosztem obecnego syna lorda.....

— Nigdy, — zawołała Józefina żywo. — Za nic w świecie nie chciałabym się stać powodem czyjegoś nieszczęścia! Podsunięty syn lorda nie wyrządził mi żadnej krzywdy, i ja miałabym mu zabierać nazwisko i majątek?

— Ale pani prawa są większe, i im więcej o tem myślę, tem bardziej przychodzę do przekonania, że pani powinnaś jednak otrzymać należne ci stanowisko! Masz tu znajomych w Paryżu, u których mogłabyś dłuższy czas zabawić? Może krewnych twych przybranych rodziców?

— Nie, nie znam nikogo!

— W takim razie zrobię pani pewną propozycyą! Przyjęłabyś miejsce towarzyszki u pewnej młodej damy wyższych kół bardzo sympatycznej i dobrej? Mogę pani zapewnić, że będzie ci tam bardzo dobrze. Obowiązkiem twoim będzie towarzyszyć jej wszędzie, czytać i — mówiąc w zaufaniu — być trochę jej aniołem stróżem!

— Jakto, czy ona tego potrzebuje? Czy jej grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Tak i to z strony jej męża! Jest on szalenie zazdrosnym, zdaje mu się, że ma słuszne do tego powody — bo żona jego kochała w istocie dawniej innego — ale teraz szuka gorliwie dowodów, na mocy których mógłby zarzucić żonie wiarołomstwo — nie w celu rozwiedzenia się z nią, tylko dlatego, aby uczynić z niej swoją niewolnicę! Ja czuwam nad nią i nad tym, którego ona kocha i dlatego byłoby dobrze, gdybyś była zawsze przy niej i służyła jej radą i czynem. Zapewniam pani, że nie zażądam nigdy od ciebie popełnienia czegoś złego, to, co masz uczynić, jest dobrem i szlachetnem!

— Wiem, że pan nie jesteś zdolnym do złych czynów, — odrzekła Józefina. — Przyjmuję chętnie to miejsce, tem więcej, że nie mam żadnego majątku, i że mała suma pieniędzy, które wygrałam w loteryi, kończy się — proszę tylko o adres tej pani i o kilka słów polecających!

Doktor napisał adres na karcie i podając ją Józefinie, rzekł:

— Idź pani do pałacu księżnej Chimay!

— Chimay!

— Czy znasz ją pani?

— Nie, ale słyszałam już to nazwisko!

— Księżna zatrzyma panią zaraz u siebie, już dlatego samego, że ja cię do niej posyłam! Zostań pani tam przez pewien czas, a potem dopomogę ci napewno do odzyskania należnych ci praw!

Józefina podziękowała mu serdecznie i wyszła.

Na dole w sieni spotkała młodego, elegancko ubranego mężczyznę, którego blada twarz świadczyła aż nadto wymownie o ciężkiej, niedawno przebytej chorobie, a czarne jego włosy, i czarne błyszczące oczy zdradzały na pierwsze spojrzenie cygana.

— To Rigo, — pomyślała Józefina.

Teraz wiedziała też, czemu doktor Tritoni opiekuje się księżną! Czynił on to jedynie w interesie swego pacyenta, którego tak pokochał!

Józefina pojechała teraz do pałacu, i ledwie posłała kartkę księżnie, została zaraz do niej wezwaną.

— rzekła Klara, podając jej rękę, przeto przyjmuję cię

Piękność Klary i wdzięk zachwyciły ją niezmiernie.

— Ponieważ doktor Tritoni przysyła panią do mnie, natychmiast! Będziesz moją przyjaciółką, zgadzasz się na to?

Józefina nie posiadała się z radości. Nareszcie znalazła przytułek i schronienie i przyszłość w świetnych przedstawiała jej się barwach!

Wieczorem tego dnia jeszcze mieszkała w pałacu, w ładnie urządzonym pokoju, i spała dziś tak spokojnie, jak już dawno nie pamiętała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIĘKNO.

Piękno — to mary, to rojenia,
  Któremi anioł snu odurzy;
Piękno — to wiosny lube tchnienia
  W nierozwiniętym pączku róży.

Piękno — to niebios toń głęboka,
  Kędy wieczorne gwiazdy płoną;
Piękno — to zapał twego oka,
  W którym ukrywasz myśl natchnioną.

Piękno — w tym ogniu ust, w pieszczocie,
  Którą milczące słowa zdobię;
W poezyi, w wiedzy, w prawdzie, w cnocie;
  Piękno w miłości, piękno — w tobie! *B. L.*